

019/b. R. 8. *Wymagany* po 15,- 506018/4518

Rok VIII.

Styczeń 1927.

Nr. 1.

PRZEWODNIK SPOŁECZNY

MIESIĘCZNIK

POŚWIĘCONY

KIEROWNICTWU STOWARZYSZEŃ POLSKICH

REDAKTOR: Ks. Dr. E. KOZŁOWSKI.

TREŚĆ:

Rozprawy.

Ks. Dr. E. Kozłowski: Roma locuta, causa finita	1
Ks. Dr. Mirek: O przebudowę ideowych podstaw pracy wśród robotników	5
Jelonek: O roli inteligencji w pracach stowarzyszeń młodzieży	11
Dr. Andrzej Niesiołowski: Z zagadnień technologii społecznej	17

Wykłady i odczyty.

Ks. EK.: Prześladowanie Kościoła w Meksyku	24
R. Dediowa: Młoda dziewczyna w walce z alkoholizmem	32
Z. B.: Młody Polak — dobrze wychowany	40

Przegląd społeczny.

Plany współpracy Związku Młodzieży Wiejskiej z ukraińską i białoruską młodzieżą wiejską	45
Katolicki ruch robotniczy w Holandji	46
Pięciodniowy tydzień pracy u Forda	46

Sprawozdania.

Zjazd Związku Odrodzenia Narodowego „Praca”	48
---	----

WYDAWCA: SZKOŁA SPOŁECZNA W POZNANIU.

Prenumerata kwartalna 3,75 zł. — Cena zeszytu 1,30 zł.

NA SEZON ZIMOWY

Kazania, wykłady i pogadanki:

X. Rogóż: Dzieweczko wstań!	3.20
X. Cieplucha: Wykłady dla młodzieży	2.50
B. Żulińska: Obowiązek Polki	1.—
M. Sopoćko: Obowiązki względem ojczyzny	1.20
F. Żurowska: Szara godzina	2.80
F. Gilewski: Wielka idea — wielki cel	1.80
Kobieta i sprawy żywo ją obchodzące	—25
Pamiętnik złotowy	1.60

Biblioteka Wieczornicowa:

I. Suszczyńska: Św. Teresa od Dzieciątka Jezus	2.40
L. Wrzesiński: Poświęcenie sztandaru	1.—
M. Czeska-Maczyńska: Nieznanemu Żołnierzowi	1.60
M. Czeska-Maczyńska: Powstanie styczniowe	1.60
W. Szalay Groele: Bolesław Chrobry	—90
C. Wolniewiczówna: Marja Konopnicka	2.40
C. Wolniewiczówna: Wieczór humoru	1.40
H. Felek: Wieczór śmiechu	1.50
J. R.: Aleksander Fredro	2.20

Teatr dla młodzieży żeńskiej: . . . od —40 do 2.—
Sztuki poważne i wesołe. Wyszło dotąd
42 numery.

Teatr dla młodzieży męskiej: . . . od —30 do 2.20
Dotąd ukazało się 23 numery utworów o treści
religijnej, narodowej lub humorystycznej.

Prawidła gier pokojowych: po 0.15 i 0.20
Wyszło 5 zeszytów o formacie kieszonkowym.

Pieśni i piosenki:

X. W. A.: Śpiewniczek kieszonkowy	—40
L. Ślazi: Deszcz róż głosy —10 partytura	1.—
Echo: Piosenki humorystyczne. Nr. 1—16 po	—20

Dokładne informacje o tych książkach oraz wielu
innych aktualnych wydawnictw zawiera nasz
katalog wysyłany gratis na każde żądanie.

SPÓŁKA AKCYJNA „OSTOJA“
KSIĘGARNIA I DRUKARNIA

P. K. O. 202-768

POZNAŃ

POCZTOWA 15

K 912/27/156

kos. 10927/8/1

Ks. Dr. E. Kozłowski.

Roma locuta, causa finita.

(W sprawie akcji społecznej i udziału w niej duchowieństwa.)

Dziwny artykuł napotkaliśmy w numerze z października (10) zeszłego roku warszawskiego miesięcznika „Pro Christo”, podającego się za organ młodych katolików. Artykuł ten, zatytułowany „Polski katolicyzm i jego niebezpieczeństwo” — autorem jest ks. M. Osowicki — zawiera poza innymi mętłami myślni bardzo ostre ataki przeciw katolickiej akcji społecznej. Autor stara się dowieść, że katolicka akcja społeczna jest nie tylko zbędna, niepotrzebna, ale nawet pod pewnymi względami niebezpieczna i szkodliwa. Takie są zaś jego wywody: „Duszy ludu nie zdobędziemy żadnymi organizacjami, żadną prasą... duszy katolickiej nie stworzą żadne zjazdy katolickie, ale stworzy ją głęboka wiara w czystym i niewinnym sercu... Niewinnego serca nie zdobędziemy w ruchliwych związkach młodzieży, w zgiełku światowym, na boiskach, lecz w łasce sakramentalnej, w poczuciu własnej słabości i pokory, uniżającej się przed Majestatem Bożym... Dziś pod nawalem pracy społecznej traci kapłan niemal charakter kapłański, jest prezesem, patronem, sekretarzem, nawet instruktorem na boisku, a coraz mniej kapłanem, duszpasterzem i nauczycielem”. Szczyt zjadliwości zaś osiąga ten ustęp: „Potępiamy laicyzm, a stajemy się lajkami. Zamiast w kościele skupia się życie katolickie w domach katolickich, w pięknie udekorowanych salach zebrań, w hotelach itp. Z kaznodziei staje się mówca publiczny na rynku. Trzaskamy się o silny węzeł rodzinny, a rozrywamy życie rodzinne licznymi stowarzyszeniami. Opiekujemy się młodzieżą, a wrywamy ją z pod opieki rodziców. Głosimy ukryte życie P. Jezusa jako wzór naśladownictwa dla młodzieży, a sami wrywamy ją z ukrytości życia rodzinnego i organizujemy ją w stowarzyszeniach, gdzie uczy się blagi, pyszałkowatości i zarozumiałości”.

Z wielkim więc rozmachem uderza ks. M. O. w katolicką akcję społeczną i księży-społeczników¹⁾.

¹⁾ Z temi samemi zarzutami przeciw katolickiej akcji społecznej uważał ks. M. O. za stosowne wystąpić na łamach łowickiego „Przeglądu Porannego” w Poznaniu (nr. 9 r. b.).

Artykuł ten nazwaliśmy dziwnym nie dlatego, jakobyśmy się dziwili poglądom samego autora na akcję społeczną. Lecz dziwimy się reakcji tego zresztą bardzo sympatycznego i niezmiernie pożytecznego czasopisma, że artykuł o takiej tendencji uważała za stosowne umieścić. Boć mamy nasamprzód wrażenie, że ona sama na zupełnie innem stanowisku stoi, przemawia przynajmniej za tem artykuł jednego z redaktorów, Ks. M. Wiśniewskiego p. t. „Zadania katolików w odradzającej się Polsce“ w numerze z grudnia (12) zeszłego roku. Co prawda, nieraz przyjmują redakcje artykuły, na których treść się nie we wszystkim zgadzają. Lecz ta tolerancja nie może się odnosić do rzeczy zasadniczych lub rozstrzygniętych już przez kompetentny autorytet. Szczególnie zaś nie mogą katolickie pisma — zwłaszcza takie, które jak „Pro Christo“ chcą być przedstawicielami bojowego katolicyzmu — umieszczać nic takiego, co by zwracało się, choćby pośrednio tylko, przeciw wskazówkom, instrukcjom i postulatom najwyższego naszego zwierzchnika duchowego, Ojca św.

I otóż właśnie artykuł ks. M. O. jest zupełnie sprzeczny z stanowiskiem, jakie zajmuje Stolica Apostolska wobec akcji społecznej.

Liczne bowiem już enuncjacje papieskie stwierdzają pożyteczność, konieczność i niezbędność katolickiej akcji społecznej oraz wzywają i zachęcają duchowieństwo do pilnego w niej udziału. Wszyscy papieże, od Leona XIII. począwszy, przywiązują wielkie nadzieje do ruchu społecznego wśród katolików i darzą go najżywszem poparciem.

O konieczności istnienia katolickich stowarzyszeń robotniczych rozwodzi się szeroko Leon XIII. w „Rerum Novarum“. „Z przyjemnością spostrzegamy“ czytamy tam, „że coraz więcej powstaje stowarzyszeń, czy to samych robotników, czy przedstawicieli obu stanów, a życzyć tylko wypada, aby rosły w liczbę i siłę. Chociaż mówiliśmy o nich już nieraz, to jednak i na tem miejscu chcemy okazać, że bardzo są na czasie i mają prawo istnienia... Robotnikom chrześcijańskim pozostaje do wyboru jedno z dwojga, albo przystać do związków, w których religja narażona jest na niebezpieczeństwo, albo osobne tworzyć stowarzyszenia i jednoczyć siły w tym celu, by można było oprzeć się przytłaczającemu i nieznośnemu naciskowi. Ze tej drugiej rzeczy trzeba sobie życzyć, czy może choćby na chwilę o tem wątpić, ktokolwiek nie chce największego dobra ludzkiego wystawić na oczywiste niebezpieczeństwo?... Z tych stowarzyszeń i ta korzyść wyniknie, że odzyskują nadzieję i możliwość ratowania się owi robotnicy, którzy albo wzgardzili wiarą chrześcijańską albo obyczajami kłam zadają wierze. Otóż tym wszystkim udzielić mogą pomocy wielce skutecznej stowarzyszenia katolickie, jeżeli

chwiejnych dla poprawy losu zaproszą do siebie, a troskliwej opieki użyczą tym, co się opamiętali”.

Czyż nie jest to najgorętszym poleceniem stowarzyszeń katolickich?

Do myśli tych powracał często Leon XIII. w swych przemowach do przedstawicieli katolickich organizacyj.

Niemniej gorącym poparciem darzył katolicką akcję społeczną następcą Leona XIII. Pius X.

W encyklice swej z dnia 11 czerwca 1905 „*Il fermo proposito*” pisze On tak do biskupów włoskich:

„Pojmujecie doskonale, Czcigodni Bracia, jakiej pomocy dostarczają Kościołowi te wyborowe zastępy katolików... dla zwalczania wszelkimi prawnymi i legalnymi środkami cywilizacji antychrześcijańskiej, dla naprawienia tak bardzo wielkich nieporządków, jakie z tej cywilizacji wypływają, dla przywrócenia praw Jezusa Chrystusa w rodzinie, szkole i społeczeństwie, dla przywrócenia zasady powodzenia władzy ludzkiej od władzy Boskiej, dla zajęcia się jak najserdeczniej sprawami ludu, zwłaszcza warstwy robotniczej i rolniczej, nietylko wpajając w te dusze zasady religijne, to jedyne źródło prawdziwej pociechy w przeciwnościach życia, lecz usiłując otrzeć im łzy, łagodzić ich przykrości, starając się za pomocą różnych środków poprawić warunki ich bytu, pracując więc, by ustawy publiczne zgodne były ze sprawiedliwością, znosząc zaś lub poprawiając te, które takimi nie są, wreszcie broniąc i podtrzymując w duchu prawdziwie katolickim, zawsze i wszędzie, prawa Boskie oraz niemniej święte prawa Kościoła. Całość tych wysokich zadań, których głównymi wykonawcami i podporami są świeccy katolicy... tworzy właśnie to, co oznacza się, osobnym i zaiste wysoce zaszczytnym wyrażeniem „akcja katolicka lub akcja katolików”.

I przypomina im w dalszym ciągu obowiązek pójścia w lud, by sprawę społeczną rozwiązać: „Ten obowiązek wzniosły nasz Poprzednik, świętej pamięci Leon XIII, poznał całkowicie, wskazując zawsze, a zwłaszcza w wiekopomnej encyklice „*Rerum Novarum*” oraz w innych późniejszych dokumentach, wokół czego powinna się rozwijać akcja katolicka, a mianowicie rozwiązanie praktyczne sprawy społecznej na zasadach chrześcijańskich”.

W liście swym zaś z d. 6 czerwca 1911 nawołuje Pius X: „Ponad wszystko niech się tworzą ugrupowania zawodowe katolików, które zajmują się sprawami społecznymi”. Silniej jeszcze występuje z tym postulatem w liście do biskupów brazylijskich, kiedy ich wzywa: „Aby w waszych miastach głoszona była z największą energią katolicka akcja społeczna, tego domagają się czasy obecne tak płodne w towarzystwa

i stowarzyszenia społeczne. Jest ona bowiem tem, o co prosi miłość chrześcijańska.... Jest to to, czego domagają się z coraz to większą gwałtownością interesy ludu chrześcijańskiego, coraz to silniej zagrożone przez niezdrowe podniecenie agitatorów. Trzeba biec na ratunek ludu z obawy, by otoczony nędzą, tą złą doradczynią, i zasadzkami nieprzyjaciół, nie wpadł w sidła socjalistów i nie opuścił religii i wiary“.

Jak żywo interesował się Benedykt XV. akcją społeczną, liczne są tego dowody.

Przedewszystkiem jest tu ważny Jego list do biskupa w Bergamo, w którym to liście rozprawia się właśnie z takimi zarzutami przeciw akcji społecznej duchowieństwa, jakie wysyła ks. M. O., i zobowiązuje wprost duchowieństwo do czynnej pracy w dziedzinie społecznej.

Zupełnie wyraźnie oświadcza Ojciec św.: „Niech żaden członek duchowieństwa nie wmawia w siebie, że działalność społeczna jest obcą urzędowi kapłańskiemu, pod pozorem, że prowadzi ona w dziedzinę gospodarczą, wystarcza, że w tej dziedzinie jest zbawienie dusz w niebezpieczeństwie. Chcemy także, by księża uważali jako jeden z swych obowiązków poświęcić się według możliwości nauce i ruchowi społecznemu przez studjum, kontrolę lub czynny udział i współpracować w wszelki możliwy sposób z tymi, którzy w tej dziedzinie wywierają zbawienny wpływ pod względem dobra ogółu. Oprócz tego ciąży na nich obowiązek oświecać owieczki swe troskliwie o obowiązkach życia chrześcijańskiego, uczynić je odpornymi wobec zwodzących zabiegów socjalistów, pomagać im przy poprawie ich losu. Niech nie wzdrygają się wspomagać robotników swemi radami, swą powagą, swem słowem, a przedewszystkiem przez popieranie dzieł, powołanych do życia w tym celu przez Opatrzność“.

Podobnie odzywa się Benedykt XV. do biskupów prowincji weneckiej: „A wy, kochani synowie i czcigodni bracia, weźcie się raczo do dzieła, by lud w zatargach swych nie schodził z dróg pokojowych, a ponieważ do osiągnięcia tego celu przedstawiają katolickie organizacje pomoc skuteczną, niech będzie przedmiotem waszej szczególnej troski, by one zapuściły wszędzie korzenie i coraz więcej się rozwijały. Niech biorą w tej pracy udział najlepsi z stanu świeckiego; niech współdziałają młodzi z swą żywą ruchliwością i starsi z roztropną radą i dojrzałym doświadczeniem“.

A w liście, pisanym z jego polecenia przez kardynała-sekretarza stanu do biskupów francuskich, każe wyrazić to życzenie „by potężne związki, ożywione duchem chrześcijańskim, gromadziły w szerokich organizacjach ogólnych na podstawie braterskiego zrzeszenia robotników i robotnice różnych zawodów“.

Ograniczamy się tu tylko do podania tych najważniejszych enuncjacji Benedykta XV. w sprawie społecznej.

Obecnie zaś panujący Ojciec św. Pius XI. starał się już w czestych alokucjach wobec przedstawicieli najróżniejszych katolickich organizacji unaocznić światu katolickiemu znaczenie i potrzebę katolickiej akcji społecznej. Jak wielkie do niej przywiązuje nadzieje, świadczy choćby to, że w liście z 7 marca 1926 do biskupów ciężko nawiedzzonego Meksyku zaleca rozbudowę katolickiej akcji jako jeden z najglówniejszych środków obrony przeciw szalejącej tyranji prześladowców Kościoła.

Takie to jest stanowisko Stolicy św. wobec akcji społecznej i udziału w niej duchowieństwa. „Roma locuta, causa finita“. Nie może już być żadnej kwestji co do użyteczności i potrzeby katolickiej akcji społecznej i roli, jaką duchowieństwo ma w niej odgrywać.

Nie wolno więc księdzu występować przeciw tej akcji, i nie wolno czasopismu katolickiemu umieszczać podobnych artykułów, jak na wstępie wspomniany.

Wobec tego uważamy za zbyteczne zająć się dokładnie zarzutami, jakie katolickiemu ruchowi społecznemu tam się stawia. Rozprawiła się z niemi zresztą już „Gazeta Kościelna“ (r. XXXIII, nr. 47 w art. „Cui bono?“).

Ks. Dr. Mirek.

O przebudowę ideowych podstaw pracy wśród robotników¹⁾

Katolicki ruch wśród robotników na ziemiach polskich ma już za sobą jakie 25 lat pracy, a w b. Księstwie Poznańskim nawet przeszło 30. Gdyby nam jednak przyszło odpowiedzieć na pytanie, czy ruch ten wyszedł już z kolebki, czy nabrał cech męskich, czy zaznacza się w życiu społecznym narodu poważniejszym wpływem, to bylibyśmy w prawdziwym kłopotcie, jaką dać odpowiedź.

Pełni jesteśmy uznania dla wszystkich, którzy swój czas i siły poświęcali i poświęcają dotąd pracy wśród robotników. Warunki polityczne i społeczne nie pozwoliły jednak z tej pracy

¹⁾ Referat wygłoszony na Zjeździe Ks.-Ks. Patronów Kat. Towarzystw Robotników Polskich archidiecezji gnieźnieńsko-poznańskiej.

zebrać dotąd należytych owoców. Dlatego bądźmy na krótką chwilę pesymistami i zastanówmy się krytycznie, jakie są ujemne strony katolickiego ruchu wśród robotników w Polsce, a następnie w jaki sposób te braki i niedomagania należałoby usunąć.

Mówiąc zaś o środkach doradczych, zdać sobie musimy nasamprzód sprawę, jaki jest wogóle cel katolickiej akcji wśród robotników i wedle tego celu dopiero dobierać będziemy odpowiednie środki, prowadzące do budowy wielkiego i zjednoczonego obozu katolickich robotników polskich.

I. Ujemne strony katolickiego ruchu robotniczego w Polsce.

Gdy krytycznym okiem spoglądniemy na katolicki ruch robotniczy w Polsce, uderzą nas natychmiast trzy ujemne strony: Małe albo w niektórych środowiskach prawie żadne znaczenie społeczne i polityczne tego ruchu, zupełne rozbitcie organizacyjne i wreszcie, co najdotkliwsze, wielka rozbieżność ideowa. Rozważmy krótko te trzy braki.

a) Dnia 7 listopada 1926 odbyły się w Warszawie wybory do Kasy Chorych. Na 147.292 uprawnionych do głosowania oddano na listę „Chrześcijańskiego Komitetu Naprawy Kasy Chorych“ tylko 7 tysięcy głosów. Wprawdzie blisko 114 tysięcy uprawnionych do głosowania nie głosowało, bądź co bądź jednak lista P. P. S. otrzymała 9.948 głosów, a komuniści 12.594 głosy. Wobec takiego wyniku głosowania lista chrześcijańska straciła 10 mandatów, (ma obecnie 11), socjaliści prawie że zatrzymali stan posiadania, (stracili 1), a komuniści uzyskali 21 mandatów. Wybraliśmy z umysłu za przykład wnik głosowania do Kasy Chorych w Warszawie, gdyż jest on typowy. Liczby powyżej przytoczone mówią, że warszawska organizacja chrześcijańska nie potrafiła zainteresować szerszej masy wyborców, oraz że jest liczebnie przeszło 3 razy słabszą od ruchu lewicowego. Podobny stosunek katolickiego ruchu robotniczego do lewicowego spotykamy i gdzieindziej, np. przy wyborach do Kas Chorych i rad miejskich w Krakowie, Łodzi i innych środowiskach.

Na terenie politycznym pokrywa się znaczenie katolickiego ruchu robotniczego ze znaczeniem Stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji, jakkolwiek stronnictwo to nie jest wyłącznym robotniczym.

Nie zapoznajemy wielkiego znaczenia i obywatelskiej pracy poselskiego Klubu Chrześcijańskiej Demokracji w Sejmie. Obiektywnie jednak musimy stwierdzić, że równy liczebowo klub socjalistyczny opanował prawie wszystkie referaty i odpowiedzialne stanowiska rządowe, mające styczność ze światem pracy, redukując wpływy Chrześcijańskiej Demokracji w tej

dziedzinie do minimum. A chociaż Ch. D. nie jest, jak rzekliśmy, stronnictwem robotniczym, to przecież postulaty akcji katolickiej domagają się od niej, aby przedewszystkiem w dziedzinie pracy przeprowadziła program oparty o katolickie zasady. Nie widzimy też w prasie, służącej Chadecji, ani tego zainteresowania się światem pracy, ani też tej fachowości, co w prasie obozu lewicowego. Brak inicjatywy w zakresie t. zw. ustawodawstwa społecznego, brak odpowiednich ankiet, żywszego zainteresowania się ewolucją społeczną robotnika, oto charakterystyczne cechy naszej katolickiej akcji robotniczej.

b) Małe znaczenie polityczne i społeczne katolickiego ruchu robotniczego jest poniekąd wynikiem rozbitcia organizacji a c y j n e g o. Wszakże u nas w Polsce niema dotąd jednolitego katolickiego ruchu wśród robotników. Osobno działa Poznań, osobno Katowice, osobno zaś Kraków, który wprawdzie nawiązał pewien kontakt z Warszawą i Łodzią, pracuje jednak, o ile wiemy, swemi wyłącznie środkami i siłami. Jeśli zaś sprawę organizacyjną ujmijemy szerzej i odłączymy ją od politycznych zagadnień, to zaznaczyć musimy, że rozłam pomiędzy organizacjami robotników, należących do Narodowej Partji Robotniczej a między Chadecją, czy też organizacjami apolitycznymi, również nie wychodzi na dobro katolickiego ruchu robotniczego, gdyż go poważnie osłabia. Nie potrzeba wskazywać, jak wiele oszczędziłoby się sił i kosztów, gdyby wydawano np. jedno wspólne pismo dla robotniczych organizacji katolickich w całej Polsce, jak wielce ważyłby na szali głos zjednoczonych organizacji katolickich w sprawie takiej a takiej ustawy społecznej, gdyby za temi organizacjami stały wielkie masy. Przy dzisiejszem zaś rozbitciu organizacyjnem nie może być nawet mowy o jednolitym froncie katolickiego ruchu robotniczego.

c) Niestety rozbitcie organizacyjne, a więc zewnętrzne, jest tylko znakiem widzialnym rozbitcia ideowego, wewnętrznego. Dowodem rozbieżności ideowej jest np. to, że „Szkoła krakowska“ łączy pod wspólnym dachem wszystkie dziedziny pracy wśród robotników, a więc organizację zawodową, oświatowo-wychowawczą i polityczną. To samo jest w Warszawie i Katowicach. W wymienionych centrach ruch katolicki wśród robotników utożsamia się — przynajmniej w opinii publicznej — z polityczną akcją stronnictwa Chrześcijańskiej Demokracji, na wzór P. P. S. albo N. P. R. Tymczasem takie łączenie akcji politycznej z ruchem katolickim wśród robotników sprzeciwia się wyraźnym wskazówkom Stolicy św., dotyczącym akcji katolickiej w ogólności, i sprowadza w nieuniknionem następstwie katolicki ruch robotniczy na tory walki klasowej.

„Szkoła poznańska“ umiała wprowadzić czy też musiała od samego zarania unikać tej niebezpiecznej unifikacji. Odłączyła ona wszakże nie tylko politykę od swoich zadań, ale też odseparowała się zupełnie od ruchu zawodowego, zaklepiając się prawie wyłącznie w pracy wychowawczo-oświatowej. Odbija się to bardzo niekorzystnie na rozwoju ruchu katolickiego w Wielkopolsce, gdzie zaczynają poważne wpływy zdobywać socjaliści, mający już np. w Poznaniu około 1500 członków w t. zw. „związkach klasowych“. Wzrost socjalizmu daje się też zauważyć w Ostrowie i Bydgoszczy.

Różnice ideowe dotyczą nie tylko stosunku do ruchu zawodowego i do polityki, ale także do wyznaniowości. Na ogół należą do katolickich organizacji robotniczych u nas tylko katolicy. Jednakże nie wszystkie statuty zastrzegają prawo wstępu tylko dla katolików. Niektóre dopuszczają także i protestantów, zwłaszcza o ile chodzi o związki zawodowe. Rozdział na robotnicze związki oświatowe i zawodowe jest pochodzenia niemieckiego. Katolicki ruch robotniczy w Niemczech widział się bowiem zmuszony współpracować w związkach zawodowych z protestantami, gdyż ci, jako licznie więksi, decydowali ostatecznie o poprawie bytu robotnika. Spór, jaki się wyłonił między Kolonją a Berlinem w tej sprawie, świadczy jednak, że katolicy niemieccy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa terenu międzywyznaniowego. Toteż przynajmniej pracę oświatową oparli na zasadzie ściśle wyznaniowej.

U nas w Polsce stanął ks. Godlewski w Warszawie (statut z dn. 29 maja 1906) na stanowisku międzywyznaniowem. Jednakże już w r. 1907 zaprotestowała przeciw temu Łódź, dodając do art. 1 statutu, iż podniesienie religijno-moralne stanu robotniczego oprzeć się winno na nauce Kościoła rzymsko-katolickiego. Niema, zdaje się, obecnie dwu zdań w sprawie wyznaniowości w związkach oświatowych, wszyscy się zgadzają, że praca oświatowa musi być prowadzona w duchu katolickim, są wszakże jeszcze różnice, o ile chodzi o związki zawodowe, a przecież u nas chyba „konieczność“ protestancka nie istnieje...

Jak widzimy, katolicki ruch robotniczy w Polsce nie doszedł jeszcze do wieku męskiego, bo nie wyrobił sobie jasnej ideologii, nie zdołał się zjednoczyć w jeden wielki katolicki obóz, nie zaznacza się też skutkiem tego poważniej w budowie Polski i w formowaniu organizacji warsztatu pracy. Trzeba się tedy zastanowić, jakimi środkami możnaby ten ruch wzmocnić i zjednoczyć.

II. Jaki jest cel katolickiego ruchu robotniczego.

Czasem dobrze jest przypomnieć stare prawdy. Powiada się dzisiaj, w epoce „człowieka ekonomicznego“, że najlep-

szym węzłem, łączącym ludzi, to wspólny interes. Powierzchnowy rzut oka na stosunki codzienne zdaje się potwierdzać ten sąd, jednak głębiej pojęte życie zadaje mu kłam. Interes bowiem łączy ludzi zewnątrznie tylko i zwykle na krótki czas, idea zaś łączy dusze ludzkie, często na wieki. Najlepszym rozwiązaniem oczywiście byłoby połączyć się ideą i interesami, niestety nie będzie to dotąd możliwe, dopóki ludzie nie pojmą, iż chwała Boża pokrywa się z najlepiej pojętym interesem człowieka. Dopóki zaś to nie nastąpi, wysuwać musimy zawsze na pierwszy plan w podstawie organizacji cel ideowy, nie oglądając się zbytnio na interesy materialne, w myśl słów Chrystusa: „Szukajcie najpierw Królestwa Bożego...“ Odnosnie do naszej tezy w sprawie unifikacji katolickiego ruchu robotniczego w Polsce zapytać się więc musimy nasamprzód, poco właściwie idziemy do robotników, dlaczego wchodzimy do warsztatów pracy, w jakim celu „rozbijamy solidarność robotniczą“, jak nam zarzucają socjaliści, czyli innymi słowy, co jest celem względnie podstawą katolickiej akcji społecznej wśród robotników.

Celem katolickiej akcji wśród robotników jest wyrobić robotnika na uświadomionego katolika-obywatela.

W kilku uwagach postaramy się uzasadnić ten cel, spełniający rolę węzła organizacyjnego.

Faktem stwierdzonym jest, że społeczeństwa dzisiejsze, a więc i nasze polskie, odchrześcijaniają się masowo. Piętnuje to wyraźnie Pius XI. w encyklice „Quas primas“ z dn. 11 grudnia 1925 r. Zaraza laicyzmu szerzy się za pomocą specjalnych stowarzyszeń, wśród których na pierwsze miejsce wybija się masoneria, tak dosadnie napiętnowana przez Leona XIII. w encyklice „Humarum genus“. Metoda masonerii w odchrześcijaniu mas polega na tem, że unika się środków gwałtownych, przynajmniej z początku, Kościół katolicki zostawia się w spokoju, ale czyni się wszystko, aby wpływy Kościoła usunąć ze rządu przez obsadę naczelnych stanowisk „swoimi“ ludźmi, z polityki przez głoszenie hasła „rozdziálu religji od polityki“, ze szkoły przez popieranie t. zw. jednolitej szkoły rządowej i t. d. Cały wysiłek masonerii skupia się koło tego, by Ewangelja Chrystusowa nie była „solą ziemi“, ani „światłością świata“, żeby nie zakwaszała żadnej gałęzi życia społecznego, czy politycznego.

Skutki tej metody są dla życia katolickiego bardzo szkodliwe. Poza murami Domu Bożego bowiem wszystko albo prawie wszystko odrywa dzisiejszego obywatela - katolika od katolicyzmu. Dziennik, teatr, kino, tańce, ogólna atmosfera ulicy, moda, jednym słowem wszystko, czem dzisiejszy człowiek poza Kościołem oddycha, utrudnia mu albo współniemożliwia życie w stanie łaski poświęcającej. Akcja bezpośrednia

duchowieństwa jest poza Kościołem wielce utrudniona, albowiem kapłan jako kapłan nie ma wpływu na kształtowanie warunków współczesnego życia. Warunki te kształtują się wedle zasad demokratycznych, t. zn. wedle woli większości, czy to w sejmie, czy w samorządzie gminnym. Punkt ciężkości przenosi się z elity na masy, te dopiero decydują, przynajmniej formalnie.

Jakaż tedy metodę przeciwstawić należy metodzie masonerii? Tę samą, którą się masoneria posługuje w walce z Kościołem, a więc zdobycie jak największych wpływów w urzędach, samorządach, zarządach warsztatów pracy, prasie, kinie i t. d. Dokonać tego jednak nie może ksiądz sam, bezpośrednio, ale dokonąć tego muszą masy. Aby zaś masy mogły i chciały mieć katolickie obramowanie życia, trzeba koniecznie wśród nich formować elitę na różnych stopniach życia społecznego, a więc także i w środowisku robotniczym. Wykształcona i wyrobiona elita robotnicza będzie ewangelicznym zaczynem w środowisku robotniczym i nauczy je w sposób najbardziej odpowiedni, gdzie, w jaki sposób i dlaczego należy przeprowadzać postulaty katolickie w życiu społecznym.

Możemy już teraz zaznaczyć, że celem akcji katolickiej wśród robotników nie jest szerzenie dewocji, zakładanie bractw dobrej śmierci, nakłanianie do rekolekcji i t. d. Owszem, wyrobienie katolickie jest konieczne, jak to niebawem zobaczymy, jednakże nie jest ono celem w naszym wypadku. Cel ściśle duchowy mają inne stowarzyszenia na względzie. Celem zaś katolickiego ruchu społecznego jest uchrześcijanienie życia społecznego, a więc w naszym zagadnieniu takie przygotowanie robotnika do życia publicznego, aby on sam stał się apostołem interesów katolickich w warsztacie pracy, w szkole, rządzie, gminie, teatrze, knajpie i t. d. i t. d.

Na potwierdzenie tego, cośmy o celu akcji katolickiej wśród robotników powiedzieli, przytaczamy wyjątek z Encykliki Piusa X. „*Il fermo proposito*“ (z dn. 11. 6. 1905), w której o celu akcji katolickiej takie czytamy słowa: „Pojmujecie doskonale, Czcigodni Bracia, jakiej pomocy dostarczają Kościołowi te wyborowe zastępy katolików... dla zwalczania wszelkimi prawnymi i legalnymi środkami cywilizacji antychrześcijańskiej, dla naprawienia tak bardzo wielkich nieporządków, jakie z tej cywilizacji wypływają, dla przywrócenia praw Jezusa Chrystusa w rodzinie, szkole i społeczeństwie, dla przywrócenia zasady pochodzenia władzy ludzkiej od władzy Boskiej, dla zajęcia się jak najserdeczniej sprawami ludu, zwłaszcza warstwy robotniczej i rolniczej, nietylko wpajając

w te dusze zasady religijne, to jedyne źródło prawdziwej pomocy w przeciwnościach życia, lecz usiłując otrzeć im łzy, łagodzić ich przykrości, starając się za pomocą rozumnych środków poprawić warunki ich bytu; pracując więc, by ustawy publiczne zgodne były ze sprawiedliwością, znosząc zaś lub poprawiając te, które takimi nie są; wreszcie broniąc i podtrzymując w duchu prawdziwie katolickim, zawsze i wszędzie prawa Boskie oraz niemniej święte prawa Kościoła. Całość tych wszystkich zadań, których głównymi wykonawcami i podporami są świeccy katolicy... tworzy właśnie to, co oznacza się osobnem i zaiste wysoce zaszczytnem wyrażeniem akcja katolicka lub akcja katolików“.

(Dokończenie nastąpi.)

Jelonek.

O roli inteligencji w pracach stowarzyszeń młodzieży.

Większość dzieci wiejskich lub proletarjackich kończy wykształcenie swe na szkole ludowej, i to często nie spędziwszy w niej przepisanych lat. Drobną tylko część ich udaje się na dalsze studia, reszta około 90% stanowi t. zw. młodzież pozaszkolną, którą nikt się żywiej nie interesuje, ani opiekuje. Szkoła ludowa spełniła swe zadanie, i rodzice uważają, że zadośćuczynili swym obowiązkom, owszem żądają od dzieci pomocy w pracy. Częstokroć nawet istotnie nie mają czasu i sposobności, a inni nie chcą zajmować się tą młodzieżą, która pozostawiona sobie zatracą najczęściej i to, co wyniosła ze szkoły do domu. Owoc 14-letniej pracy idzie częstokroć na marne.

Pogarsza sprawę ta okoliczność, że młodzież pozaszkolna przechodzi właśnie okres pokwitania, w najbliższej zaś perspektywie czekają chłopców koszary, które niosą ze sobą szczególne niebezpieczeństwa, o ile się ich nie uprzedzi i nie uodporni na nie.

Tymczasem młodzież, błądząc po manowcach, rozprasza swą energję na szukanie dawno utartych dróg, szuka tego, co właściwie powinna była otrzymać gotowe od starszych. A w takim razie gdzież może być mowa o postępie?

Prawda, że młodzież często nie chce słuchać rad starszych, że ulega nazbyt często niepowołanym prowodyrom i demagogom. Atoli winę trzeba, może i to najczęściej, przypisać starszym, że nie chcą czy nie potrafią zbliżyć się do tej młodzieży i zyskać jej zaufania.

Oczywiście nie każdy ma dane po temu, nie każdy ma czas i sposobność. Atoli to pewne, że koniecznością jest zor-

ganizowanie opieki nad tą młodzieżą, jeżeli nadal dwa miliony jej nie mają być narażone na błądzenie, na opiekę niepowołanych lub samozwańczych psowaczy i na wyzysk społecznych hien.

Bezsprzecznie do opieki nad młodzieżą zaniedbaną powołana jest inteligencja; z drugiej strony jest to i dla niej bardzo ważne, gdyż od pozyskania tej młodzieży zawisło rozproszenie uprzedzeń między warstwami ludności, rozbitcie tego chińskiego zaiste muru, który dzieli inteligencję od ludności wsi i przedmieść.

Przykłady tego rozdźwięku spotyka się na każdym niemal kroku. Dość wspomnieć to powszechne wzajemne odnoszenie się (cham i ciarach) lub utożsamianie inteligenta z „pahem“ czy burżujem lub np. walkę z nauczycielem.

Rzecz prosta, że winę ponoszą tu umyślnie rozbudzone egoizmy klasowe i nieuregulowane stosunki i antagonizmy gospodarcze. Jednak poprawa tego stosunku może być jedynie dziełem inteligencji. Od niej mogą wyjść pierwsze kroki, ponieważ zdolna jest do zajęcia stanowiska bardziej bezstronnego i bezinteresownego i do trzeźwej oceny rozumowej a nie namiętnej, subiektywnej i bezkrytycznej. Oczywiście wymaga to od inteligencji dużo dobrej woli i często nawet poświęcenia i zaparcia się. Ale w tem właśnie tkwi wyższość intelektualna inteligencji.

Trzeba więc wychować i pokierować młodzieżą pozaszkolną w duchu ogólnospołecznej i ogólnomoralnej ideologii. Tymczasem pod tym względem dotychczas niewiele zrobiono; praca rozstrzelona, siły rozproszone, brak ustalenia metod i dróg postępowania.

O ile jednak bezsporne jest, że trzeba młodzież pozaszkolną zorganizować, to najczęściej spór toczy się o to, czy należy organizacje te opierać na zasadach koedukacji (wzgl. życia towarzyskiego), czy każdą płęć osobno skupiać. Rozstrzygnięcie tej sprawy jest rzeczą pierwszorzędną doniosłości ze względu na przejściowy wiek tejże młodzieży.

Niebezpieczeństwo tego wieku trzeba też rozpatrywać na szerokiem tle panujących w społeczeństwie odwiecznych wprost pojęć o konieczności „wyszumienia się“ młodzieży i to specjalnie męskiej. O ile zaś dawniej stosowano je do lat 20—25, to obecne rozwydrzenie seksualne doprowadza do wyrodnienia i moralnego gnicia w jeszcze młodszym wieku. Sprzyja temu i drugi jeszcze przesąd, wynik sprostestantyzowania pojęć chrześcijańskich, wmawiający w kobietę jako jedyne jej powołanie małżeństwo i macierzyństwo, zamiast uznawania w niej człowieczeństwa, którego pełnię trzeba osiągnąć bez względu na płęć i stan. Przesąd ten w praktyce uczy młodzież męską zaptrywać się na drugą płęć jako

na przedmiot rozkoszy a w każdym razie na istotę do pewnego stopnia „niższą“ (a nie różną). O wykołajenia nie trudno, zwłaszcza przy zaniku czci dla świętości i piękności dziewictwa. Wreszcie w ostatnich czasach rozszerzyły się ogromnie pseudonaukowe i niemoralne poglądy o t. zw. „zdrowej zmysłowości“, tudzież sztucznej jakoby genezie wstydlivosti, kult ciała (niby tylko z higienicznych względów), co wszystko razem zabija delikatność, potrzebną w współżyciu obu płci.

Wprawdzie możnaby domagać się właśnie starań o wyrobienie tego potrzebnego taktu i delikatności w obejściu, atoli koedukacja zawodzi i trudna jest do przeprowadzenia w szkole pod trwałym i większym dozorem, gdy tymczasem z młodzieżą pozaszkolną stykać się mogą kierownicy naogół rzadko, w dodatku nie ma się nad nią żadnej władzy prócz organizacyjnej, bądź też o charakterze moralnym.

Skoro zaś i doświadczenie starszego i wykształcześniejszego społeczeństwa wykazuje, że za wyjątkiem czysto rozrywkowych lepiej rozwijają działalność stowarzyszenia, skupiające sanych mężczyzn lub niewiasty, przeto tem roztropniejszą jest rzeczą stosować to rozgraniczenie także do młodzieży pozaszkolnej. Stąd wynika też, że i opiekować się stowarzyszeniami powinny w zasadzie osoby tej samej płci, co zorganizowani.

Przeszkodą, ale też w razie należytego pokierowania wielką pomocą w pracy w stowarzyszeniach młodzieży jest polski indywidualizm, który wymaga traktowania odrębnego a więc indywidualizacji. Indywidualne wpływianie na młodzież jest jednak jednym z najtrudniejszych problemów wychowawstwa i wymaga przede wszystkim zaufania ze strony wychowanka a wielkiej wyrozumiałości i taktu ze strony wychowawcy.

Rzecz jasna, że do tego zadania obok duchowieństwa (spowiedź) najlepiej naogół nadaje się nauczyciel ludowej czy średniej szkoły, który ma ustawiczną praktykę w obcowaniu z dziećmi i przeto łatwiej mu się zastosować do poziomu i młodzieży pozaszkolnej. Jednak nie przesądza ta okoliczność z góry, aby i inny inteligent tego kierownictwa nie mógł podjąć się z pożytkiem.

Ale też od niego trzeba wymagać wielkiego wyrobienia własnej duszy, aby mógł wyrabiać inne, i częstokroć pomyślność organizacji zależy w zupełności od tego, czy jest wystarczająco bezinteresowny, poświęcający się kierownictwu młodzieży całą duszą, a nie od niechcenia lub choćby tylko ubocznie, czy jest wyrozumiały i cierpliwy, choć nie widzi zaraz owoców swej pracy, — słowem trzeba apostoła świeckiego o wyrobionym charakterze.

Tego wszystkiego niepodobna prosto osiągnąć bez inteligencji, przynajmniej wrodzonej.

W sposobie odnoszenia się do młodzieży pozaszkolnej trzeba pamiętać jeszcze o tem, że nie można się jej narzucać ani rozkazywać, lecz współpracować, przejmować się zainteresowaniami tej młodzieży i służyć jej zawsze i wszędzie chętną pomocą, radą, zachętą. Oczywiście też kierownik musi umieć wyrobić sobie taką powagę i wzięcie, aby jego zdanie chętnie i dobrowolnie przyjmowano a wtedy będzie mógł — byle znów nieznacznie, — poddawać myśli, plany, słowem wpływać na wyrobienie młodzieży, jej sposób myślenia i zachowania się, na jej ideologię wreszcie.

Do zainteresowań też młodzieży należy stosować rodzaje zajęć w stowarzyszeniu, przyczem obok wspólnych zebrań, wykładów i t. p. pożądane jest tworzenie kółek dla różnych spraw szczegółowych o charakterze religijnym (eucharystyczne, apologetyczne) oświatowym, artystycznym (orkiestra, teatr amatorski), kółka wychowania fizycznego, samopomocy, abstynenckie i t. p. I tu trzeba dać swobodę i możliwość, aby każdy w sposób najmiłszy i najłatwiejszy dla siebie wyładował swą energję twórczą.

Wystrzegać się jednak trzeba koniecznie jednostronności, przede wszystkim zaś najgroźniejszego obecnie — przekształcenia stowarzyszenia w rodzaj klubu sportowego lub t. p.

Niebezpieczeństwo jest tem groźniejsze, że niektórzy dzisiejsi wychowawcy sprowadzają zwalczanie erotyzmu środkami czysto mechanicznymi — do absurdu. Zalecają sporty i ćwiczenia fizyczne, gdyż zmęczenie fizyczne ma być tym najskuteczniejszym środkiem na erotyzm. Zapewne jest w tem część prawdy, atoli zbyt w ten sposób upraszcza się i mechanizuje ono trudne i w pierwszym rzędzie moralne zagadnienie. Co gorsza, osiąga się coś wręcz przeciwnego.

Zbyt gorliwe uprawianie ćwiczeń fizycznych, podkreślanie higienicznych pierwiastków prowadzi obecnie do podeptania głębokich wartości duszy ludzkiej. Dla sportów odrywa się od pracy umysłowej, przytem jakże często zabija się wstydlivość (zwłaszcza u dziewcząt), a popisy półnagich osób obojga płci więcej zapewne czynią szkód bliźnim, niż pomagają zdrowiu fizycznemu ćwiczących. A przecież nawet dla fizycznego zdrowia szkodliwa jest manja rekordów, która wyczerpuje niepotrzebnie, z rozrywki czyniąca wprost katorgę, a nawet powoduje nieszczęśliwe wypadki i to nawet śmierci. Nie dziw, że niejednokrotnie gimnastycy zwalczają zapamiętałe sportowców. Szal sportowy jest niezdrowem zjawiskiem dzisiejszych czasów.

Przesadą wreszcie grzeszy powoływanie się na fizyczne i duchowe zdrowie starożytnych. Wogóle idealizujemy

starożytność, ale wreszcie i pamiętać się godzi, że w Grecji np. na igrzyska olimpijskie nie miały dostępu kobiety jako widzowie pod grozą kary śmierci, nie bywały też w gimnazjach, gdzie ćwiczyli nadzy młodzieńcy. Wielkie jednak pytanie, czy nie te właśnie gimnazjony były jedną z przyczyn, że tak bardzo szerzył się w Grecji homoseksualizm. Nawet filozofowie, nie wyłączając Platona i Arystotelesa, pochwalali go lub głosili. Dzisiejsza t. zw. miłość platoniczna zupełnie co innego znaczyła dawniej.

A zresztą — dlaczego dzisiaj, w czasie tak wspaniałego rozwoju sportów i wychowania fizycznego, coraz więcej nadużyć i niewstrzemięźliwości płciowej?

Czy przypadkiem nie gasi się ognia — oliwą? A co zrobi młodzieniec w koszarach w czasie nudów lub rozmów rekruckich? Czy wtedy pomoże mu sport? Co robi wobec nieprzyzwolonej mody dzisiejszej, napaści ulicy lub koleżeńskiegi wciągania do domów rozpusty? Czy wyrobienie sportowe wystarczy, aby się oprzec tylu pokusom? Czy sport zatłumi budzące się pożądliwości? — Podobno — nie.

I słusznie! — Jednostronne wychowanie fizyczne, cielesna tężyzna a zatem i płciowa bez innego poparcia, bez przeciwwagi rozumu i pierwiastków irracjonalnych nie doprowadzi jeszcze do pożądanego celu t. j. wyrobienia tężyzny duchowej, która jest przecie dobrem daleko wyższem.

Jest jednak na to wszystko radykalny środek, ale dostępny tylko katolikom.

On dawał taką tężyznę pierwszym chrześcijanom, że z radością szli na męki, on krzepi dotąd tysiące w chwili śmierci lub katuszy fizycznych czy moralnych, on daje wskazówki i obronę w codziennej drodze życia, jemu piszący te słowa ma do zawdzięczenia, że szczęśliwie przeszedł wiek przejściowy, koszary i front, że stale w nim czerpie siłę w najprzykrzejszych chwilach.

Tym środkiem to codzienna a przynajmniej częsta — Komunja św.

Ale głosząc światu taki środek, trzeba już stanąć na gruncie dogmatu i stawić czoło współczesnemu zeświecczeniu, tej zaiste zarazie współczesnej, jak ją ocenił Ojciec św. w encyklice: „Quas primas“, temu wypędzeniu z życia wszelkiej nadprzyrodzoności.

Otóż ten pierwiastek religijny stanowi dla niejednego — już nie pół- czy pseudo-inteligenta, ale inteligenta poważną trudność dzięki ogromnemu niezrozumieniu życia religijnego. Wszak nasza inteligencja tak mało jest religijnie wykształcona i praktykująca.

Atoli zagadnienie wychowania młodzieży pozaszkolnej, jak wogóle każde wielkie zagadnienie, trzeba koniecznie

oprzeć na gruncie najgłębszych zasad czyli wkroczyć w dziedzinę zagadnień religijno-moralnych.

Ktoby chciał w tem dopatrywać się tendencyjności, klerykałizmu i t. p. albo wojował dwuznacznie hasłami postępu, ducha czasu, przedmiotowości i t. p., tego można tylko zapytać, od kiedy bezwyznaniowiec np. wolny jest od tendencyjności w głoszeniu swoich bezwyznaniowych właśnie zasad w zakresie wychowawstwa czy moralności. Albo czy podstawy wychowawcze np. zachwalanej Y. M. C. A. nie są owiane raczej przesiąknięte duchem protestantyzmu? Czy to jest przedmiotowość? Czy wreszcie t. zw. świecka moralność nie opiera się (obok resztek chrześcijańskości) na pewnych autorytetach, powagach naukowych, głoszących pewne zasady o charakterze dogmatów? Czy wreszcie szermierz jej w niejednym wypadku nie opiera się na własnem widzimisie, wobec jej niepewności i braku skryształizowania? Wszak wszystko to — to tendencja.

Długo katolicy w Polsce — a niestety w pierwszym rzędzie inteligencja bardzo łatwo — bo bezmyślnie — ulegali atakom tych różnych przesądów i ich głosicieli i niemal wstydzili się swej „ograniczoności“ (zamiast swej bojaźni). Zapomnieli, że nawet „po ludzku“ sądząc, tyłowiekowe doświadczenie Kościoła większą posiada mądrość niż niejeden mędrzec czy półmędrak wczorajszy czy dzisiejszy, których nauki zbyt prędko ulegają druzgocącej krytyce i zarzuceniu, czy to będzie Rousseau czy Kant, Hegel czy Nietzsche. A zasady Kościoła trwają wiecznie te same, wiecznie stare i równocześnie wieczyście młode, — dlatego, bo niezmiennie i nieśmiertelne, jak ich głosiciel i nauczyciel Chrystus Pan.

Kościół wchłonał w siebie wszystko, co było świętego w starożytności a odrzucił, co było marne lub podle; co kiedykolwiek było i jest naprawdę wielkie i zacne, to nigdy nie kłóci się z jego zasadami, choćby pozornie inaczej się wydawało i choćby nawet jego niektórzy przedstawiciele zwalczali je a to bez wyraźnego potwierdzenia i wskazówek najwyższej i nieomyłnej władzy Kościoła.

Jeżeli więc inteligencja ma naprawdę zająć się młodzieżą pozaszkolną i należycie nią pokierować, to bezwzględnie musi stanąć na stanowisku Kościoła, stać się jego apostołem świeckim.

Dotąd młodzieżą tą zajmowali się przeważnie księża, zwłaszcza w diecezjalnych stowarzyszeniach, złączonych obecnie w ogólnopolskie Zjednoczenie Młodzieży Polskiej w Poznaniu. Nie jest to z wielu względów korzystne, żeby tylko księża zajmowali się tą opieką i pracą. Odrywa ich bowiem od ważniejszych zadań duszpasterskich i obowiązków religijnych dla spraw np. finansowych, mundurków,

oznak itd., co z dużo większym nawet pożytkiem mógłby objąć kto inny. Duchowny ma dziś utrudniony dostęp do duszy tej młodzieży, skoro tyle dziś niechęci do duchowieństwa w ośrodkach robotniczych a nawet wiejskich. Widok i przykład świeckiego katolika praktykującego może też o wiele prędzej przekonać i porwać zwłaszcza młodych.

Aby jednak spełnić należycie swe zadanie wychowawcze wobec młodzieży pozaszkolnej, musi inteligencja katolicka nauczyć się żyć w Kościele i Chrystusie i dla Kościoła i Chrystusa.

Tylko początki są trudne.

Jakiegoż przewrotu dokonali w świecie prostaczkowie — apostołowie, idąc według wskazówek i głosząc zasady Boskiego Mistrza.

Co w w. XII pociągnęło do Chrystusa i do wysokiej pchnęło ascezy tylu braci mniejszych, klarysek i tercjarzy, jeśli nie przykład jednego św. Franciszka?

A jeśli chcemy współpracy i jedności wszystkich warstw w miejsce walki klas, to przede wszystkim inteligencja katolicka musi pozyskać te milionowe rzesze młodzieży pozaszkolnej, a tak pracując dla niej uczynić katolickim cały naród, „odnowić wszystko w Chrystusie“. Wtedy unikniemy i tego, co się dzieje we Francji, że świetnie zorganizowana inteligencja katolicka nie ma kontaktu z niewierzącym ludem.

Ale w drodze do spełnienia tych zadań potrzeba wysiłku a nadto trzeba koniecznie, aby inteligencja polska przekonała się o skuteczności i praktyczności społecznych środków Kościoła t. j. Sakramentów św., musi zrozumieć, że prawdziwa równość, wolność, sprawiedliwość i miłość bliźniego może się opierać tylko na dziesięciorgu przykazań, a najświetniejszym środkiem społecznym jest uczestnictwo w „Łamaniu Chleba“.

Dr. Andrzej Niesiołowski.

Z zagadnień technologii społecznej.

IV. Ilość a jakość.

Z omawianem uprzednio zagadnieniem podtrzymywania zapалу łączy się problemat doboru członków. Każda normalna organizacja musi dążyć do rozrostu, tylko bardzo nieliczne grupy (np. akademje) nie pragną powiększyć swej liczebności. Zwykle rozchodzi się tu o organizacje względnie instytucje, zażywające wysokiego prestigeu, które mogłoby się zmniejszyć przez powiększenie liczby członków i — co zatem idzie — ułatwienie dostępu. Fakt ten wprowadza nas

już w samo jądro zagadnienia, z którym nieraz napróżno borykają się działacze społeczni. Mamy tu niewątpliwie do czynienia z poważnym dylematem. Rozrost liczebny jest konieczny z różnych względów. Najpierw trzeba uwzględnić stronę rzeczową: jest to naogół jedyna droga do rozszerzenia zakresu działania stowarzyszenia, zarówno pod względem przerobienia wewnętrznego członków, jak i promieniowania na zewnątrz. Sprawy społeczne mają na ogół zawsze tak ogólny charakter, że nie wolno ich zamykać w ciasnych, dzielnicowych czy lokalnych ramach, a nawet ramy narodowe często bywają przekraczane przez różne wielkie idee społeczne, jak np. walka z alkoholizmem lub handlem żywym towarem. Następnie sprawa ma swą stronę psychologiczną: tylko wtedy, gdy przybywa członków, wzrastać może wiara w sprawę i w wartość organizacji, a z tem zapał i energia, zarówno u kierowników, jak i u szeregowych członków. Dalsza korzyść z rozrostu liczebnego leży w tem, że zwiększa się wybór ludzi, którymi kierownicy dysponują, a zatem uzyskuje się możliwość większej wybredności przy wyborze kandydatów do różnych funkcji. Zarazem stanowiska te w większej organizacji zyskują na wartości, na prestige, stając się przez to bardziej pożądanymi. Stają się one przez to przedmiotem ambicji — wytwarza się współzawodnictwo i trudność znalezienia współpracowników i kierowników, i można stawiać coraz wyższe wymagania.

Wszystkie te rzucające się w oczy korzyści popychają każdą organizację na drogę wysiłków celem zyskania członków. Mówiliśmy już w poprzednich szkicach o trudnościach pozyskiwania członków i utrwalania ich zapału. Tutaj wypadnie nam poruszyć inne problemy, z tem związane. Dążność do rozrostu liczebnego wytwarza skłonność do werbowania na prawo i lewo kłosa z tem jakością, do „wciągania“ ludzi, nie stojących nieraz na wymaganym poziomie, nieprzekonanych często dostatecznie, lecz dających się pociągnąć poprostu dla względów pobocznych, może nawet nienajszlachetniejszych. W ten sposób przybywa wprawdzie członków, ale obniża się ich poziom, wytwarza się ton nieodpowiedni w organizacji — zanika obowiązkowość w wypełnianiu obowiązków. Oczywiście zły przykład działa; stowarzyszenie rozprzega się coraz bardziej, członkowie zniechęcają się i występują, organizacja upada lub częściej, ze względu na bierność ludzką i niechęć każdego stowarzyszenia do rozwiązywania się (której wyrazem są utrudnienia statutowe), zaczyna się wegetacja. Wystarczy nieco się rozejrzeć, by stwierdzić, jak przerażająco wielka liczba stowarzyszeń, (zwłaszcza u nas), znajduje się w tem

stadjum, że ani żyć ani umierać nie może. Gorzej jeszcze, gdy do stowarzyszenia dostaną się ludzie niemoralni, wtedy dochodzi do takich skandali jak defraudacje kasowe albo do tego, że członków musi się wyrzucać za niegodne honoru organizacji postępowanie.

Mamy tu więc dylemat: z jednej strony grozi wyschnięcie z braku dopływu nowych członków, z drugiej rozprężenie z powodu napływu nieodpowiednich. Nietrudno oczywiście wskazać idealne rozwiązanie: stały przyrost dobrych członków. Ale jak ten ideał osiągnąć? Czy należy „wciągać“ do organizacji? Czy dobrą jest szeroka reklama, czy lepszem osobiste zapoznawanie? Czy wreszcie należy otwierać podwoje szeroko, czy też utrudniać dostęp, by ten stał się przedmiotem pożądania i ambicji? Są to zagadnienia niezmiernie doniosłe, decydujące o powodzeniu każdego stowarzyszenia. A jednak nasi działacze, jak dotąd, mało jeszcze wykazują zainteresowania dla tych rozważań, działają raczej bezrefleksyjnie, idąc za wrodzonym „zdrowym rozsądkiem“. Nie widzą oni, że teoria jest tylko wyciągnięciem wniosków z dotychczasowej praktyki, i że ten, który się nią posługuje, korzysta z doświadczeń niezliczonych swych poprzedników. W Ameryce zabieranie się do pracy społecznej bez przygotowania byłoby uważane za to samo, jakgdyby ktoś, kto tego nie studjował, chciał budować mosty. Są jednak pewne oznaki, że i u nas zaczyna się rozbudzać pewne zainteresowanie technologią społeczną.

Wróćmy jednak do naszego zagadnienia. Stwierdziliśmy w uprzednim szkicu, że nawet wciągnięty członek może stać się podporą stowarzyszenia, o ile się uda pozyskać jego sympatję i aktywność. Ale warunkiem będzie niewątpliwie istnienie u niego pewnych skłonności, idących po linii ideałów organizacji. Tak np. można wciągnąć na pewien czas do roboty społecznej ludzi, którzy są urodzonymi teoretykami („mole książkowi“) — ale wkońcu przeważnie takie typy odpadają, a jeżeli się nawet trzymać będą przez pewien czas, to nie będzie z nich wielkiego pożytku. Utrzymanie ich aktywności będzie wymagało ciągłego wysiłku, a mimo to będą oni demoralizować innych przykładem opieślności — i wogóle ziębić zapal członków swym chłodem. Ludzie ci mogą zresztą być bardzo wartościowymi, ale po prostu nie mają popędu do pracy społecznej.

Gorszym jeszcze nabytkiem będą ludzie słabego charakteru, zapaleni, ale nie wytrwali, skłonni do podejmowania się wszystkiego, ale nie dotrzymujący obietnicy, zwykle niepunktualni a nawet nierzetelni. Rzecz oczywista, że jeden taki może więcej zaszkodzić, niż dziesięciu dobrych człon-

ków naprawić zdoła. Wniosek jest oczywisty, a jednak o tem się nie myśli, nim się kogoś wciąga do organizacji, należy go d o b r z e p o z n a ć i wszechstronnie rozważyć, czy członek ten nadaje się do danej organizacji. Dobrem urządzeniem jest instytucja członków wprowadzających, którzy biorą moralną odpowiedzialność za kandydata.

Oczywiście w y m a g a n i a, stawiane kandydatom, muszą być bardzo różne, zależnie od charakteru organizacji. Będą stowarzyszenia, w których wymagania są minimalne, np. jedynie płacenie drobnej składki. W takim stowarzyszeniu można istotnie bez obawy ideał jakości zupełnie poświęcić na rzecz ilości, gdyż w najgorszym razie członek może — nie zapłacić. Taką organizacją czysto ilościową jest np. Czerwony Krzyż. Kto raz do roku zapłaci drobną składkę, jest członkiem. Oczywiście, że na takich członków liczyć nie można, i dlatego stwarza się w takich organizacjach różne kategorie członkowskie. Styczność członków, którzy tylko składkę płacą, jest jedynie pośrednia, gdyż rzadko kiedy przyjdą oni na zebranie — a w każdym razie zebrania te mają charakter prawie publiczny i niepodobno takim członkom, zebranyym na ulicy, stawiać jakichkolwiek wymagań. Ale właściwa działalność na nich też oprzeć się nie może, jedynie na gronie ściślejszem. Inaczej będzie już w stowarzyszeniach, które w y m a g a j ą pewnej c z y n n o ś c i od członków. Tu już wymagania muszą być wyższe i dlatego dobór ściślejszy i w kwintesencji ilość mniejsza. Jeżeli Polski Czerwony Krzyż może dążyć do miliona członków, to jakieś stowarzyszenie oświatowe ani marzyć o takim stanie nie może. Łatwiej będzie bowiem o ludzi, którzy raz do roku zapłacą kilkadziesiąt groszy, niż o takich, którzy będą stale przychodzić na zebrania i wykłady. Czem wyższy ideał, tem niższemi z natury rzeczy muszą być aspiracje liczebne, dlatego miara musi być względna. Stowarzyszenie etyczne, o najwyższych wymaganiach, jak np. Filarecki Związek Elsów, będzie silnym, gdy będzie liczyło ponad 100 członków. — Czerwony Krzyż byłby słabym przy 100.000. Z drugiej strony trzeba też brać pod uwagę siłę jakiegoś ruchu w danym kraju czy okresie. Tak np. u nas najliczniejsze stowarzyszenia abstynenckie ledwo przekraczają tysiąc członków — w innych krajach podobno liczą ich setki tysięcy.

Okazuje się więc, że każde stowarzyszenie ma swój poziom wymagań. Rozpiętość jego skali jest ogromna. Nie można więc powiedzieć, że zawsze chodzi o ilość, a nie o jakość. Rozchodzi się jedynie o to, by nie wprowadzać, dla przyspieszenia rozrostu liczebnego, takich członków, któ-

rzy nie odpowiadają wymaganiom bardzo względnym, jak przekonałiśmy się. Podnosząc wymagania, zacieśniamy zakres działalności, obniżając je — obniżamy poziom. Mamy więc dwie sprzeczne tendencje — do rozrostu w ilość i w jakość, w szerz i w głąb. Która jest słuszną? Sądzymy, że jedno i drugie jest potrzebne. Zacieśnianie się w kółku wybranych prowadzi do zaniedbania tych, którym najbardziej potrzeba organizacji, — ale zbytne rozszerzanie się wiedzie do obniżenia. Tendencja wieku wiedzie raczej w ostatnim kierunku — demokracja prowadzi do niwelacji. Ale właśnie dla tego niebezpieczeństwa ogromnie potrzebne są stowarzyszenia jakościowe, których członkowie staliby się „niewietrzejącą solą“ dla tych szerokich mas. Potrzebnem jest więc jedno i drugie — jakościowa i ilościowa robota. Trzeba sobie tylko zdawać sprawę z poziomu danej organizacji. Poziomu tego nie wolno jednak stawiać za nisko, o ile nie rozchodzi się jedynie o zbieranie pieniędzy i popularyzację jakiejś idei (np. L. O. P. P. lub Liga morska i rzeczna). Tam, gdzie członkowie stykają się bezpośrednio w organizacji, wymagania winny być zawsze wyższe od przeciętnego poziomu, bo człowiek zawsze dostosowuje się do ideałów swej grupy. Jeżeli te będą za wysokie, proces ten okaże się niemożliwym, względnie ulegną mu tylko nieliczne jednostki — gdyby jednak ideały nie były wyższe niż poziom przeciętny, stowarzyszenie nie ciągnęłoby w górę, a więc nie spełniałoby swego zadania. Istnieją niewątpliwie też takie organizacje, które ludzi obniżają, ciągnąc ich ku jakiemuś negatywnemu ideałowi. Trzeba do nich zaliczyć organizacje socjalistyczne i bolszewickie, które jako ideał wpajają nienawiść do innych, której członkowie jeszcze nie posiadają w tym stopniu, w jakimby się ją im pragnęło wszczepić. Często też ideał może być na papierze piękny, ale w rzeczywistości obniżający stopniowo poziom swych członków, którzy dostosowują się w dół do niezdrowego ducha, panującego w organizacji, np. skłonności do pijatyk itp.

Z ideałem organizacji łączy się kwestia zasady doboru członków czyli selekcji. Nim człowiek dostaje się do jakiegoś stowarzyszenia, przechodzi kilkakrotnie przez selekcję, jakgdyby przez kilka sit. Pierwszą zasadą selekcji będzie zwykle narodowość, gdyż stowarzyszenia przeważnie są narodowe, drugą przeważnie religja, przynajmniej u nas, gdzie przeważają stowarzyszenia o typie wyznaniowym, trzecią zasadą będzie zwykle stanowisko społeczne, o ile organizacja ma charakter mniej lub więcej stanowczy, czwartą będzie sam fakt zainteresowań społecznych, gdyż jednostki, które ich nie posiadają, nie będą się garnąć do organizacji. To

sitko ma jednak czasem dziurę, gdyż często dostają się ludzie do stowarzyszeń ze względów pobocznych, osobistych i innych. Piąte „sito“ wreszcie, najdelikatniejsze i decydujące, to ideał danej organizacji. Tu następuje decydująca selekcja. Tak np. do stowarzyszenia oświatowego nie wstąpi człowiek, który nie posiada pewnej żądzy wiedzy, do stowarzyszenia religijnego nie zapisze się bezbożnik, ani etycznego człowiek, pozbawiony dążeń etycznych. Oczywiście i tu, jak już wiemy, może się dostać człowiek, pozbawiony danych zainteresowań, poprostu ze względów osobistych, np. żeby osobie znajomej zrobić przyjemność, albo dla znalezienia oparcia. To niebezpieczeństwo istnieje zwłaszcza przy wciąganiu członków. O tyle lepszym będzie zawsze członek, który przyszedł sam, który szukał bez niczyjej zachęty. O takim możemy być przekonani, że dana dążność jest w nim istotnie silna, że przeszedł on przez to piąte sito, a nie dostał się przez dziurę. Tego rodzaju członkowie zwykle będą najaktywniejszymi i często wysuną się na czoło organizacji. Wynika z tego wniosek praktyczny, że każda organizacja, nawet stawiająca najwyższe wymagania, musi dbać o to, by o niej wiadano, ażeby każdy, kto takie właśnie dążenia posiada, mógł do niej trafić. Nie można się więc ograniczać do zyskiwania członków przez osobistą styczność, bo krąg znajomości naszych będzie zawsze za ciasny, często przypadkowy, i najcenniejsi właśnie mogą w ten sposób przepaść. Nie można jednak takich członków od razu przyjmować, lecz trzeba odczekać, aż dadzą się poznać.

Słabą stroną tej selekcji naturalnej będzie jednak to, że wchodzi tu w grę — o ile chodzi o dążności — jedynie aspiracje jednostki, a nie jej rzeczywisty poziom. Tak np. zdarzało się, że do stowarzyszeń abstynenckich pchali się pijacy, którzy szczerze pragnęli się wyratować — i udawało się im to — ale tylko do czasu, a potem popadli w recydywę, kompromitując nie tylko siebie, ale organizację i cały ruch. Jedynym środkiem zaradczym będzie tu wprowadzanie stopni członkostwa próbnego i ew. przedtem dłuższej kandydatury, która umożliwi poznanie człowieka. Czem wyższe wymagania organizacji, tem wyższymi sprawdziany oceny. Będzie tu zresztą pomocą pewien czynnik, działający automatycznie w kierunku przeczyszczenia. Jest nim atmosfera organizacji. Członka, który się do niej nie dostosuje, będzie ona automatycznie wypychać.

Pozostaje nam jedno jeszcze pytanie do omówienia. Czy należy ułatwiać wstępowanie do stowarzyszeń o charakterze bardziej jakościowym, (w typie ilościowym ta trudność nie istnieje) licząc, że członek dostosuje się do wymagań, czy też

utrudniać, by przynależność stała się bardziej pożądaną? Dylemat ten należy do najtrudniejszych i zdaje się, że nie łatwo tu o regułę. Wciąganie wywołuje opór — utrudnianie robi rzecz bardziej pożądaną. Są jednak jednostki nieśmiałe i niezdecydowane, które poprostu czekają na to, by je ktoś pociągnął — a inne znowu idą tylko dobrowolnie — a opierają się, gdy się je ciągnie. Należy więc indywidualnie rozstrzygać, z jakim typem ma się do czynienia. Trzeba tu oczywiście dużego doświadczenia i znajomości ludzi — ale przede wszystkim pewnej zdolności wczuwania się w innych, która często u niektórych osób jest wrodzona. Sądzimy, że nawet ten, kto jej z natury nie posiada, może ją sobie w dużej mierze wyrobić, o ile starał się wmyślać w psychikę tego, z kim ma do czynienia.

Zadania kierowników stowarzyszeń nie są łatwe. Przychodzą okresy zastoju, gdzie się zdaje, że wszystko się wali. Cierpliwość często bywa narażoną w pracy społecznej na ciężkie próby. Kto ich nie przetrzyma, ten albo zniechęci, albo zacznie gorączkowo wciągać ludzi bez względu na ich kwalifikacje i potem naturalnie musi zbierać owoce lekko-myślności. Ten jedynie, który się zgóry liczy z okresami zastoju, i zdecydowany jest wytrzymać — a nie zwątpić i nie obniżyć poziomu — jest prawdziwie przygotowany do pracy społecznej i może być pewien, że prędzej czy później słuszna sprawa zwyciężyć musi.

WYKŁADY I ODCZYTY.

Ks. EK.

Prześladowanie Kościoła w Meksyku.

„Na świecie ucisk mieć będziecie“, zapowiedział Chrystus Pan Apostołom swym (św. Jan XXI, 33). I choć blisko dwadzieścia wieków minęło od onej chwili, gdy nasz Boski Mistrz te słowa wypowiedział, to jednak zapowiedź ta często nam się przypomina. Bo od onych pierwszych wybuchów nienawiści żydowskiej przeciw apostołom i uczniom Chrystusowym, od onych pierwszych kropli krwi męczeńskiej św. Szczepana poprzez straszne okrucieństwa rzymskich Neronów aż do obecnych czasów nie ustawają wysiłki i zamachy mocy złych, co pragną wytepić naukę Zbawiciela i zburzyć Jego Kościół. I często wracają takie okresy, w których te wysiłki i zamachy szczególnego nabierają natężenia, przemieniają się w okrutny ucisk Kościoła, męczeńskie Jego prześladowania.

Męczeństwo w Kościele nigdy nie ustaje. Boć przecież, jak twierdzi jeden z pisarzy starochrześcijańskich, krew męczenników to nasienie chrześcijaństwa.

W obecnych zaś czasach jesteśmy świadkami, jak nad Kościołem nowe burze się rozpętały, przybierając rzadko groźną siłę. Przecież zdaje się, jakby w Rosji bolszewickiej piekło samo się rozwarło i wypuściło wszystkich swych potępieńców do walki przeciw Bogu. Powtórzyły się okrucieństwa, jak za najstraszniejszych prześladowań rzymskich cesarzy. Trudno byłoby znaleźć tam kapłana, któryby nie doznał okropności bolszewickich więzień; szerokimi strumieniami popłynęła krew męczeńska duchownych i świeckich, mordowanych dla swej wierności Bogu, nieraz wśród najokropniejszych katuszy, domy i świątynie zostały obrabowane, pozamykane, znieważone, a wymyślna przewrotność czyni wszystko, by dziecku Boga zakryć i je zepsuć, znieprawić do gruntu.

W tem dziele przeklętym mają jednak bolszewicy sprzymierzeńców w obecnych władcach zamorskiego Meksyku. Cały świat przecież rozbrzmiewa odgłosem tych walk zaciętych, jakie rząd meksykański toczy z Kościołem. Dzieją się tam nawet rzeczy, które swą potwornością przewyższają bolszewickie zbrodnie. Tak ciężkie jest położenie katolików w Meksyku, że Ojciec św.

w zeszłym roku zawezwał cały świat katolicki do modlitw za meksykański Kościół. Co chwilę dochodzą nas wieści o nowych bezprawnościach, gwałtach i zbrodniach rządu meksykańskiego wobec katolików. Jako wiernych synów Kościoła musi nas to okrutnie prześladowanie naszych współbraci meksykańskich, jakkolwiek tysiące mil nas od nich dzieli, przejmować boleścią wielką. Zapoznajmy się więc dokładniej z tem, co oni przechodzą i cierpią.

Meksyk to największy kraj Środkowej Ameryki. Fale dwóch oceanów, Atlantyckiego i Spokojnego, uderzają o jego wybrzeża. Obszarem swym przewyższa on kilkakrotnie największe państwa europejskie z wyjątkiem Rosji, jest bowiem cztery razy tak wielki jak Niemcy. Niezmierne zaś bogactwa kryje w swem łonie. Obfite kopalnie srebra i potężne źródła nafty, nie mówiąc już o obszernych plantacjach kawy i rozległych winnicach, mogłyby zeń przy rządach, zapewniających mu ład i spokój, uczynić jedno z najpotężniejszych pod względem gospodarczym państw. Lecz niestety właśnie ładu i spokoju najwięcej Meksykowi brak, tak że tylko w części może on swe bogactwa wyzyskać.

Jakkolwiek Meksyk co do obszaru kilkakrotnie Polskę przewyższa, to jednak nie dorównuje jej co do liczby ludności. Ogromny ten kraj ma tylko nieco więcej niż 15 milionów mieszkańców. Jest to ludność pod względem rasy bardzo pomieszana, białych liczą tam tylko 20%, czerwonoskórnych Indian 35% a metysów czyli mieszanców z białych i Indian 45%. Prawie cała ludność jest katolicka, bo tylko około 20 000 pogan i 70 000 protestantów doliczono się tam. O żywej wierze i gorącym przywiązaniu narodu meksykańskiego do Kościoła świadczą te precudne świątynie, jakie wszędzie mimo tych częstych rewolucyj, pozostawiających po sobie liczne ruiny, jeszcze gęsto napotyka się. Niektóre katedry można śmiało zaliczyć do najpiękniejszych kościołów świata.

Meksyk odkrył w roku 1519 Hiszpan Ferdynand Cortez. Długie i zacięte walki musiał on stoczyć, zanim pokonał władcę tybulczych Indian Montezumę i zdobył cały kraj dla króla hiszpańskiego. Przez trzy stulecia był Meksyk najcenniejszym klejnotem korony hiszpańskiej. I Hiszpanji zawdzięcza on całą swą kulturę i cywilizację.

W początkach XIX. w. poczęły się w narodzie meksykańskim jednak budzić dążności do uzyskania niezależności od Hiszpanji. Przyczyną tego były nadużycia hiszpańskiej władzy administracyjnej, która starała się wyciągnąć z kolonii tej dla kraju ojczystego jak największe zyski. Po dwóch nieszczęśliwych powstaniach w latach 1810 i 1815, w których kierowniczą rolę odegrało dwóch księży, udało się w r. 1821 obalić hiszpańskie rządy i ogłosić niepodległość Meksyku.

Naród meksykański uzyskał wolność, lecz pozbył się, zdaje się, bezpowrotnie ładu i spokoju w kraju. Bo od samego zarania swej niezawisłości przechodził on jedną po drugiej rewolucję; roz-

ruchy, zaburzenia, walki domowe, pełne okrucieństw najokropniejszych, są tam zjawiskiem stałym. Władza przechodzi z jednych rąk do drugich, a dzierżą ją przeważnie ludzie niegodni, bez sumienia, zbrodniarze nawet. Od r. 1821 do 1867 zmienił Meksyk nie mniej niż 36 razy swą konstytucję a 72 razy naczelników państwa. Tylko za rządów prezydenta Porfira Diaza od r. 1877 do 1910 panował w kraju względny spokój.

Niestety wolny Meksyk zajął prawie od samych początków swych nieprzychylnie lub nieprzyjazne stanowisko wobec Kościoła. Nic w tem dziwnego, jeżeli się zważy, że na czele państwa stali często awanturnicy zpod ciemnej gwiazdy, którzy do rządów dochodzili poprzez najpotworniejsze zbrodnie. Pozatem zdołali też się silnie w kraju usadowić masoni, i opętawszy wpływami swemi władze, podżegają je do walki z Kościołem. A i protestanci, zasilani z sąsiednich Stanów Zjednoczonych Północnej Ameryki, starają się wedle sił szkodzić katolicyzmowi.

I już prawie sto lat toczy się z większemi lub mniejszemi przerwami w Meksyku walka z Kościołem, wybuchając niekiedy z tak gwałtowną siłą, że zdaje się, jakoby szatańska złość najdziksze harce tam wyprawiała. W tej walce nie ograniczono się do wydawania praw przeciw Kościołowi, urągających wszelkim zasadom sprawiedliwości, a i rozsądkowi, owianych wściekłą nienawiścią ku katolicyzmowi, lecz dopuszczano się także naokropniejszych gwałtów wobec biskupów, duchowieństwa i wiernych, nieraz wśród rozlewu krwi.

Już w roku 1833 wykluczono duchowieństwo jako nauczycieli z szkół publicznych i zniesiono obowiązek dziesięciny. Szczególnie jednak ostre formy przybrała walka religijna w Meksyku w r. 1857, gdy po długich rewolucyjnych zaburzeniach dorwali się do władzy najzaciętsi wrogowie Kościoła. Uchwalono wtedy konstytucję, której nie można inaczej nazwać jak najohydniejszym gwałtem wobec Kościoła. Konstytucja ta nie dopuszczała władzy Ojca św. nad katolikami meksykańskimi, zakazywała biskupom znosić się z Nim, konfiskowała własność kościelną na rzecz państwa, pozbawiała duchowieństwo praw politycznych, nie pozwalała na składanie ślubów zakonnych itp. To też rozpoczął się dziki rabunek kościołów i klasztorów. Te bezprawia wyczerpały cierpliwość katolików. Porwali oni za broń i nową wojna domowa wystrzeliła krwawemi płomieniami; katolicy walczyli jak lwy za swą wiarę. Niestety ulegli. Przyszły więc jeszcze gorsze czasy, ucisk wzrastał z dnia na dzień, bo władcy Meksyku nieznali granic swej nienawiści ku Kościołowi. Wypędzano z kraju biskupów i kapłanów, wyrzucano z klasztorów zakonników i zakonnice, grabiono i znieważano kościoły, konfiskowano do reszty majątki kościelne, zaprowadzono śluby cywilne, odebrano cmentarzom ich charakter religijny, zniesiono przysięgę i święta kościelne, zakazano księżom noszenia szat duchownych poza kościołem, skasowano naukę religii w wszystkich szkołach państwowych i gmin-

nych i ogłoszono wszelkie zapisy testamentowe na rzecz księży i ich krewnych za nieważne. Cały szereg kościołów i klasztorów zburzono lub zamieniono na koszary, muzea, domy warjatów, magazyny i t. p. Słowem, dopuszczano się wobec Kościoła najpotworniejszych bezpraw. Rzadko który kraj musiał kiedykolwiek wycierpieć tak straszny i okropny ucisk religijny jak Meksyk.

I trwało to tak przeszło 20 lat. Dopiero gdy w r. 1877 został prezydentem państwa generał Porfirio Diaz, zelżało to prześladowanie. Przywrócił on ład i spokój w kraju i zdołał w ciągu długich swych rządów podnieść go bardzo pod względem gospodarczym i cywilizacyjnym. Wobec Kościoła zajął zaś stanowisko przychylniejsze od swych poprzedników. Nie zniósł wprawdzie starych praw antykościelnych, lecz stosował je o wiele oględniej. Kościół odetchnął trochę. Przystosowując się do nowego położenia, umiał po cichu rozwijać niezmiernie błogą działalność. Niestety krępowany był jeszcze bardzo, a w życiu państwowem wiał wciąż duch antyreligijny. Szkoły państwowe zaprawiały młodzież bezbożnością i psuły ją. Nie dziw więc, że naród coraz więcej od Boga i Kościoła się oddalał. I niestety katolicy nie byli też tu bez winy. Zaniechali oni organizowania ludu na podstawie zasad katolickich, nie zabrali się w czas do pracy kulturalno-oświatowej, nie zajęli się należycie sprawami społecznymi, które w Meksyku są szczególnie zaognione. A skutek był ten, że tracili coraz więcej wpływ na masy ludowe, które bałamucili najprzeróżniejsi agitatorzy w duchu antyreligijnym. To zaniechanie miało się strasznie zemścić.

Te względnie znośne dla Kościoła stosunki skończyły się jednak, gdy w r. 1910 wybuchła nowa rewolucja, i prezydent Diaz został zmuszony do złożenia rządów i opuszczenia kraju. Nadszedł teraz okres, do dziś dnia trwający, w którym złość nieprzyjaciół Boga i Kościoła miała w najstraszniejszym ucisku katolików święcić swe triumfy, w którym gwałty i bezprawia miały przybierać z dnia na dzień na potworności.

Z upadkiem bowiem Diaza został kraj wtrącony w długie a niezmiernie krwawe wojny domowe. Jedna rewolucja za drugą przewalała się po ziemi meksykańskiej, zlewając ją obficie krwią i pustosząc. Bandyci robili się „generałami“ i przeciągali po kraju, niszcząc, paląc, grabiąc, mordując. Przedewszystkiem zaś padały ofiarą ich zbrodni kościoły i duchowieństwo. Nie sposób opisać tych okrucieństw, jakie stosowano wobec księży. Rozstrzeliwano ich masami.

W tym zamęcie dorwali się do władzy ludzie, nadający się raczej do więzień aniżeli do piastowania najwyższych godności państwowych.

Jednym z takich był prezydent Carranza, który swą godność zawdzięczał pomocy osławionego przywódcy bandytów Villy. Napis na sztandarze, który kazał przed sobą nieść przy uroczystem swem wkroczeniu do stolicy Meksyku „Duchowieństwo jest

ciemnością, wolność światłem“ zapowiadał już, czego katolicy mogą od niego się spodziewać. I rzeczywiście rozpoczął on z Kościołem walkę nieubłaganą. Przepędził zakonników, pozamykał szkoły katolickie oraz znaczną część kościołów, niektóre z nich zamieniając n. p. na stajnie, spalił bibliotekę jezuitów, zabronił wydawania katolickich gazet. Codziennie prawie ukazywały się na murach nowe rozporządzenia, zwrócone przeciwko nabożeństwu i religijnym ćwiczeniom, Kościołowi i duchowieństwu.

Władze zaś prowincjonalne starały się go nawet prześcignąć w tym ucisku. I tak wydano w niektórych prowincjach przepisy, zakazujące kazań, postów, pokut, opłat za posługi religijne, jałmużny na rzecz duchowieństwa, pozdrawiania księży, chrztów, pogrzebów kościelnych, mszy w dni powszednie, przyczem różnemi podstępami uniemożliwiano odprawiania mszy św. w niedziele i święta, i co najohydniejsze, ogłoszono karę śmierci za słuchanie spowiedzi. Do takiego okrucieństwa nawet bolszewicy nie doszli. Biskupów i księży wypędzano z kraju, a były takie wypadki, że księży zamknięto w klatkach i włóczono jak dzikie zwierzęta z miejsca na miejsce, hańbiono zakonnice, w kościołach zaś urządzano po doścześnie ich zniszczeniu i ograbieniu najdziksze orgie. Wszyscy biskupi albo ślęczeli w więzieniach albo musieli uchodzić z kraju przed tyrańskimi prześladowcami.

Dla ostatecznego pogięcia Kościoła kazał prezydent Carranza ułożyć w r. 1917 konstytucję dla całego państwa, zawierającą najniegodziwsze przepisy antyreligijne. Konstytucja ta służy dotąd jako podstawa wszystkich ciosów, wymierzanych przez rząd meksykańskie Kościołowi.

Główne jej postanowienia są takie: Kościół nie może prowadzić ani utrzymywać żadnych szkół. Zakazuje się nietylko istnienia zakonów, ale także składania ślubów zakonnych. Wszystkie nieruchomości własność kościelna i wszystkie budynki kościelne, obecne i przyszłe, przechodzą na własność państwa, które rozstrzyga o liczbie kościołów, przeznaczonych na użytek wiernych. Kościołowi nie wolno kierować żadnemi instytucjami dobroczynnemi. Władze prowincjonalne określają liczbę księży, dopuszczonych do obsługi wiernych. Tylko poddani meksykańscy mogą wykonywać posługi duchowne. Księża nie posiadają żadnych praw politycznych, nie mogą dziedziczyć ani nabywać nieruchomości, i nie wolno im krytkować konstytucji, władz i rządu. Wszystkich więc praw obywatelskich pozbawiono ich; położenie ich równa się prawie położeniu dawnych niewolników. Gazetom katolickim zakazuje się poruszania spraw politycznych, nie wolno tworzyć partyj o religijnem zabarwieniu.

Z całą bezwzględnością stosowano te niegodziwe przepisy. Walka z Kościołem rozgorzała z niebywałą siłą. Bo lud wierny zerwał się z wielkim zapałem i odwagą do obrony swych świętości. By ten opór przełamać, uciekały się władze do barbarzyńskich gwałtów i nadużyć. I znów zrosiła się ziemia meksykańska krwią męczeńską.

Aż w końcu sam Carranza się zastanowił, że ucisk Kościoła przechodzi wszelką miarę, że trzeba się powstrzymać w tym szale prześladowczym. Czy to naszły go wyrzuty sumienia, czy to uczył on, że grunt chwieje mu się pod nogami, dość że począł uprawiać wobec katolików politykę łagodniejszą, stosując wobec nich z mniejszą surowością ustawy i przepisy bezbożne oraz pozwalając nawet na ich omijanie. Dla Kościoła nadeszła chwila wytchnienia. Z zadziwiającą wprost szybkością począł On przychodzić po tych ciężkich ciosach do siebie. Życie religijne zaczęło rozwijać się nader bujnie. Z wielką żarliwością i pomysłowością zabrali się katolicy do odbudowy życia religijnego. Przystąpili do tworzenia związków katolickich, zakładali stowarzyszenia robotnicze, młodzieży, rycerzy Kolumba, katolickich ojców rodzin, organizowali ośrodki katechizacyjne, kina, teatry, urządzali sportowe widowiska i t. p., by zamachom wrogów Boga i Kościoła przeciwstawić silnie zorganizowane, przygotowane do walki społeczeństwo katolickie. Niestety tylko na krótko ucichła walka, tak że katolicy nie zdążyli należycie się zorganizować. W r. 1920 dochodzi znów do zaburzeń rewolucyjnych, gdyż zaniechanie przez prezydenta Carranza bezwzględного ucisku Kościoła wywołało wśród dotychczasowych jego zwolenników wielkie niezadowolenie. Rewolucjoniści zwyciężają, władzę obejmują znów ludzie, pałający żądzą dokończenia dzieła, którego Carranza nie śmiał wykonać całkowicie.

Nastaje teraz nowy okres prześladowań. Postanowienia konstytucji z r. 1917 poczyną się na nowo stosować z największą surowością i szatańską wprost przewrotnością. Szczególnie uwzięły się władze, by ograniczyć jak najwięcej liczbę księży. Zdarzały się wypadki, że dopuszczono na 12 000—20 000 wiernych tylko jednego księdza.

Lecz walki te były tylko wstępem do onego strasznego boju, jaki rozgorzał, gdy w r. 1924 został prezydentem państwa Plutarch Elias Calles, bolszewickimi ideami przesiąknięty socjalista. Już jako gubernator jednej z prowincyj meksykańskich zaznaczył on się tem, że nikt mu nie dorównywał w bezwzględnym prześladowaniu Kościoła. Stanąwszy zaś na czele całego państwa, postanowił wykorzystać swą władzę do zupełnego zgnębienia katolicyzmu. Z początkiem r. 1925 rozpętała się nad Kościołem w Meksyku nowa burza, przewyższająca swą gwałtownością wszystkie dotychczasowe. Prezydent Calles zmobilizował przeciw niemu wszystkie środki, jakimi rozporządza. Zaciekle jego nienawisć nie cofa się przed niczem. Niezliczony jest szereg zbrodni i gwałtów, jakich się on w tej walce dopuszcza. Odgłos jej napęlnia cały świat, budząc oburzenie nie tylko wśród katolików. Tylko nasi socjaliści mają smutną odwagę wychwalania jej.

Antykościelną swą politykę rozpoczął Calles od tego, że wypędzał wszystkich urzędników o katolickich przekonaniach. Potem przystąpił do planowego wykonania konstytucji z r. 1917. Wy-

gnał więc z kraju księży i zakonnice, nie posiadających meksykańskiego obywatelstwa, pozamykał szkoły katolickie, utrudnia i uniemożliwia katolikom dostęp do uniwersytetów, zniósł prawie wszystkie seminarja duchowne. Odprawianie mszy św. jest uzależnione od pozwolenia władz, procesje są wzbronione. Tu i owdzie zakazano nawet używać wody święconej. Nowych kościołów nie wolno budować, niektóre z istniejących zamieniono na teatry i muzea. Cały majątek kościelny został skonfiskowany, przy czem miał Calles czelność głosić przed światem, że wszelkie wiadomości o konfiskacie są nieprawdziwe, gdyż Kościół nie posiada w Meksyku wogóle żadnej własności. Wszystkie kościelne sierocińce, schroniska dla starców i zakłady dla kalek zostały zabrane przez państwo lub zamknięte. Biskupów przepędzono przeważnie z ich pałaców i zakazano im utrzymywania kaplicy domowej. Szczególnie ostro wykonuje się przepisy o ograniczeniu liczby księży. W niektórych prowincjach może na 20 do 30 tysięcy wiernych tylko jeden ksiądz wykonywać duszpasterstwo. A co już wprost o szatańskiej złośliwości świadczy, to przepisy kilku prowincyj, nakazujące księżom, dopuszczonym do posług duchowych, zawarcie małżeństwa. Ponieważ zaś żaden ksiądz do tego nakazu się nie stosuje, muszą ci, co nie siedzą po więzieniach lub nie uciekli przed prześladowcami zagranicę, w ukryciu pracować. Nawet jednemu z biskupów chciano zezwolić na powrót z wygnania tylko pod tym warunkiem, że pojmie żonę.

Prawie wszystkie katolickie pisma zostały zamknięte. O sprawach religijnych nie wolno gazetom pisać.

Na dobitkę próbowano stworzyć jeszcze odszczepieńczy meksykański kościół narodowy. Mimo jednak bardzo gorącego poparcia odszczepieńców z strony władz, które oddawały im gwałtem zabrane kościoły katolickie, próba ta zawiodła całkowicie.

Rok 1926 przyniósł jeszcze zaostrzenie tej walki. Nie dość, że z całą surowością wykonuje się dawne ustawy i przepisy, że przy wypędzaniu księży i zakonników obojej płci dzieją się niesłychane barbarzyństwa, że zamyka się szkoły i zakłady miłosierdzia, wyrzucając dzieci, ubogich i kalek na ulicę, ale wydano jeszcze nowe prawa antykościelne, jakoby dotychczasowe były za łagodne. Zakazano więc pod ostrą karą udzielanie nauki religii w wszystkich szkołach, nawet prywatnych. Wszystkie klasztory znosi się, zakazuje się nakłaniać kogokolwiek do składania ślubów zakonnych. Wszystkie religijne czynności mogą odbywać się tylko w obrębie kościołów, które podlegają kontroli państwa. Poza kościołem nie wolno księżom chodzić w szatach duchownych, noszenie jakichkolwiek religijnych odznak także przez świeckich podlega karze. Wszystkie kościoły i budynki kościelne stają się własnością państwa, które może nimi dowolnie rozporządzać. Księżom nie wolno pod surowemi karami brać udziału w zgromadzeniach politycznych. Za krytykę bezbożnych ustaw i zarządzeń władz czeka ich długoletnie więzienie. Pełno jest ich po więzieniach, jednego z biskupów zamordowano nawet w więzieniu.

Prześladowanie Kościoła w Meksyku doszło obecnie do najwyższego napięcia. Dochodzą nas stamtąd wieści o starszuchach kapłanach, których, gdy iść już nie mogli, na noszach ciągnięto do więzień, o młodych dziewczętach, oddanych na pastwę kryminalistów lub żołnierzy, o hańbionych zakonnicach, o ojcach rodzin, składających Bogu ofiarę ze swych najdroższych, o młodzieży i nieletnich chłopcach, którzy z różańcem w rękę i uwielbieniem Chrystusa na ustach spokojnie szli na śmierć lub okrutne męczarnie.

Jakże musi nad tem boleć Ojciec św.! Kilkrotnie podnosił On publiczny protest przeciw tej tyranji, piętnując ją w należytych słowach. A gdy fale ucisku nie opadały, lecz przeciwnie coraz wyżej się podnosiły, zawezwał w osobnem orędziu cały świat katolicki do modlitw w dniu 1 sierpnia 1926 za meksykańskich katolików i rozporządził, by do modlitw jubileuszowych dołączono także modlitwę na intencję Meksyku. W dniu zaś 18. listopada ub. r. zwrócił się w encyklice do całego świata z skargą na okrutne zbrodnie, jakie w Meksyku się dzieją.

Wsparci tak modlitwami całego świata, walczą katolicy meksykańscy z niesłychanem męstwem o swe świętości. A dała im Opatrzność Boża bardzo dzielnych wodzów w tej walce. Obecni biskupi meksykańscy to ludzie ducha prawdziwie apostołskiego, o odwadze męczenników i wielkiej mądrości. Nie straszą ich żadne groźby i kary, więzienia i wygnania, z rzadkiem męstwem występują przeciw gwałtom i bezprawiom prześladowców i z najwyższego podziwu godną zabiegliwością starają się podtrzymać życie religijne w kraju oraz unicestwić te szkody, które przynoszą bezbożne ustawy i poczynania władz. A gdy Calles przez nowe ustawy prześladowcze zamierzał zadać Kościołowi cios śmiertelny, zdobyli się na czyn wielki. Wydali wspólny list pasterski, w którym ogłaszają klątwę na każdego, któryby brał udział w wykonaniu nowych antykościelnych ustaw i wzywają katolickich rodziców do bojkotowania bezbożnych szkół państwowych a ogół wiernych do niesłuchania prześladowców. Nie dość tego jeszcze, obłożyli cały Meksyk kościelnym interdyktem z dniem 31 lipca 1926 r., w którym to dniu nowe prawa antykościelne miały wejść w życie, t. j. zarządzili zaprzestanie wszelkich nabożeństw i usług duchownych.

Ten krok biskupów wstrząsnął do głębi całym krajem. Rozdzierające sceny odbywały się w ostatnich godzinach przed interdyktem. Kościoły były wszędzie przepelnione, tak że kobiety i dzieci w ścisku znajdowały śmierć przez uduszenie. Zewsząd schodzili się wierni, pary małżeńskie do ślubu, rodzice do chrztu swych dzieci, inni by uczestniczyć w ostatniej mszy św. W samej katedrze meksykańskiej przystąpiło w ciągu lipca przeszło 100 000 osób do bierzmowania, w ostatniej pielgrzymce do cudownej Matki Boskiej w Guadalupe, które ma w Meksyk to samo znaczenie co u nas Częstochowa, wzięło udział przeszło 100 000 pielgrzymów, wielkie panie obok najbiedniejszego indyjskiego wyrobnika,

placząc, bosy, z pokrwawionymi stopami, lecz z tem postanowieniem, raczej wszystko stracić niż świętą wiarę katolicką.

I przyszedł straszny dzień 31 lipca 1926 r., dzień interdyktu. Żałoba śmiertelna zaległa nad całym krajem. Zamilkły dzwony, ucichły organy, przebrzmiały pieśni pobożne, opustoszały ołtarze, opróżniły się świątynie, przerwały się nabożeństwa, wyschły źródła łask sakramentalnych; jedynie w razie niebezpieczeństwa śmierci spieszy kapłan z pociechą duchowną.

A lud wierny poszedł sam jeszcze dalej w oporze swym. Kobiety noszą suknie żałobne, czego im już władze zabraniają, podatnicy nie chcą płacić podatków, dzieci omijają szkoły państwowe, zakupuje się tylko najpotrzebniejsze rzeczy, bojkotuje się handle i sklepy zwolenników obecnych rządów, kina i teatry pustoszeją. Zamarło życie gospodarcze.

Duch męczenników z pierwszych czasów chrześcijańskich ożył w narodzie meksykańskim. Bohaterstwo katolików dochodzi do najwyższych wyzyn.

I tak toczy się w Meksyku walka na śmierć i życie między dwoma nierównymi potęgami. Po jednej stronie jest mała mniejszość nieprzyjaciół Boga i Kościoła, bezbożnych komunistów i socjalistów, zacieklej masonów i nienawiścią dyszących sekciarzy, uzbrojona od stóp do głowy, rozporządzająca wojskiem licznym, koleją, prasą, wogóle całą maszyną państwową, po drugiej zaś olbrzymia większość katolickiego narodu, bezbronna jednak, bezsilna, pozbawiona wszelkich praw, podeptana, ujarzmiona, lecz potężna swą wiarą, nadzieją i miłością.

I jaki będzie wynik tej walki? Możemy tu za Sienkiewiczem powtórzyć: „Minie Calles, jak mija wichur, burza, pożar, wojna lub mór“, a Kościół pozostanie niewzruszony, wciąż nowym blaskiem jaśniejący, bo „bramy piekielne nie zwyciężą go“.

R. Dediowa.

Młoda dziewczyna w walce z alkoholizmem.

W każdym niemal towarzystwie, w którym zebrani chcą krzesać większą i głośniejszą wesołość, podaje się wina, likier, wódkę lub piwo. Wszędzie i zawsze alkohol, zawarty w tych trunkach, daje zapomnienie trosk, daje przyjemne samopoczucie. Ludzie czują się po wypiciu pewniejsi siebie, bardziej się sami sobie podobają, — mniej surowo sądzą błędy i ułomności innych, — czują się braćmi, — chce im się głośno radować, głośno mówić — i śpiewać z całego serca. To też od starych czasów ludzie pili wino i piwo, aby się rozweselić i pokrzepić, — a czasy nowożytne przyniosły nowoczesną fabrykację spirytusu i picie wódki, która tego rozweselającego alkoholu zawiera w sobie najwięcej.

I dzisiaj przy każdej okoliczności alkohol jest tym dawcą wesołości: imieniny, przyjęcia, wesela, chrzciny, zawsze odbywają się w towarzystwie tego rozweselającego przyjaciela. Ten dobry al-

kohol nie opuszcza nas i w smutku, w każdej stracie majątkowej, w każdym niepowodzeniu, po stracie nawet najdroższych osób — alkohol daje nam, jeśli już nie pocieszenie, to chwilowe złudzenie, że jakoś to będzie, — a to już człowiek smutny ceni sobie wysoko.

Jakże tu wobec takich zalet nie wezwać tego ducha rozwesalającego, gdy się zbieramy w liczniejszym gronie, aby się zabawić!

Czasami jednak wśród ludzi pijących znajdzie się w towarzystwie ktoś, co nie pije. Nie przeszkadza on wprawdzie nikomu pić, nie wytrąca kieliszka z ręki, tylko na zaproszenie do picia odpowiada: „Ja alkoholu nie piję i do końca życia pić nie będę“. I wtedy dzieje się rzecz dziwna. Wszyscy pijący — zamiast pokiwać głową z politowaniem nad tym człowiekiem, który dobrowolnie pozbawia się tyłu radości, jakie daje alkohol, — tak jakby picie alkoholu było czemś niedobrem, — zaczynają się przed tym jednym niepijącym usprawiedliwiać. „A ja też nie lubię, gdy kto miarę przebierze“ — mówi jeden. „A ja piję tylko w towarzystwie i to tylko przy wielkiem świącie“ — mówi drugi. „Pewnie, że z picia wiele złego wynikło, ale jakże ja gościom okaże, żem im rad, jeśli nawet kieliszka im nie postawię“ — mówi trzeci.

A czwarty zabiera się do namawiania tego niepijącego czyli abstynenta od trunków, by przecie na ten raz zrobił wyjątek i napił się ze wszystkimi, — choćby kropelkę, żeby tylko usta zamaczał i skosztował, jak to trunek smakuje.

A gdy namowa nie skutkuje, zaczynają abstynenta wyśmiewać. „O ten, to ma tak słabą wolę, tak sam na sobie mało polega, że aż słowo honoru musiał dać w stowarzyszeniu, że nic pić nie będzie i teraz pić nie może. A my — to mamy wolność, chcemy się napić, to możemy pić aż do nieprzytomności, aż dokąd nam się tylko podoba. My ludzie wolni.“ — A potem pytają abstynenta, dla jakiego powodu pozbawił się tak dawno znanej i chwalonej przyjemności.

I wtedy ze wszystkich stron napadany abstynent zaczyna się bronić. — Jeżeli niepijącym jest ksiądz, to mówi, że w konfesjonale słyzy rzeczy straszne. Człowiek dobry i uczciwy pod wpływem alkoholu popełnił zbrodnię. Nigdy nie potrafiłby on tego uczynić po trzeźwemu — i tylko pod wpływem alkoholu, który ogłuszył i wykrzywił jego sumienie, posunął się aż do występku. „A więc ja, sługa Boży — mówi dalej kapłan abstynent — jeżeli chcę, by królestwo Boże się w duszach ludzi budowało, muszę własnym przykładem bronić ludzi przed zdradliwym alkoholem, który jak wąż — obiecuje niewinną wesołość, — a gdy mu już kto zawierzy — to go doprowadzi do zbrodni i występku.“

Jeżeli niepijącą jest młoda dziewczyna, to na docinki odpowiada krótko: „Mnie i bez picia wesoło, to poco mam pić?“ i zamyka tem usta wszystkim.

Harcerz też nie tłumaczy długo. Mówi tylko: „Tak każe prawo harcerskie, by harcerz po trzeźwemu bronił najcenniejszych dóbr narodowych i szlachetności charakteru nie topił w kieliszku.“

Sportowiec poda tylko jeden fakt: „Na międzynarodowych zapasach sportowych, na tak zwanych „igrzyskach olimpijskich“ w Paryżu w roku 1924 — głównymi zwycięzcami byli członkowie narodów, które usunęły alkohol ze swego życia: Amerykanie i Finnowie. Gdy ich częstowano alkoholem — odmawiali picia stanowczo i bezwzględnie. Wtedy sportowe związki francuskie wydały odezwę, w której stwierdzają, że kto chce być zwycięzcą na międzynarodowych zawodach musi się wyrzec alkoholu bezwzględnie. Skoro więc alkohol jest przeszkodą w osiągnięciu dodatnich wyników na zawodach sportowych — kończy sportowiec — to żaden rzetelny sportowiec nie może pić alkoholu. — A naród, który chce osiągnąć zwycięstwo w zawodach międzynarodowych, musi też wyzwolić się od tej wyniszczającej trucizny.“

Dłużej od sportowca mówi zazwyczaj kobieta-matka, gdy ją o przyczynę niepicia pytają. Dla niej główną przyczyną, dla której nie pije — jest wzgląd na dzieci.

„Jakże ja mogę pić, gdy chcę, by dzieci moje nie piły i były trzeźwe i zdrowe — mówi matka. — Gdybym piła, dzieci chciałyby mnie naśladować, a znana jest rzeczą, że alkohol, który szkodzi starszym, dla dzieci jest wprost zabójczy. Dzieci same przekonały się, że młode pieski, którym się daje wódkę do picia, nie wyrastają, lecz zostają małe i głupkowate. — A potem ja chcę, aby moje dzieci żyły, były zdrowe i dobre. Ja chcę sama wykarmić swe dzieci. A wiem dobrze, że tam, gdzie matka pije, choćby tylko piwo, uniarkowanie, ale stale — jak w Bawarii — tracą kobiety zdolność karmienia własną piersią swych niemowląt, i co trzecie dziecko w Bawarii umiera, a na 100 mężczyzn — 60-ciu jest niezdolnych do służby wojskowej. — Dzieci, które piją alkohol, są niezdolne, uparte, nieposłuszne i skłonne do kłamstwa i wszystkich złych rzeczy, — a ja chcę dzieci wychować na chwałę Bogu a Ojczyźnie i sobie na pociechę. — Nietylko więc sama nie piję, ale i męża do abstynencji przekonałam — i nigdy nawet gościom alkoholu nie podajemy, aby dzieci złego przykładu w domu nie widziały.

Niemniej wymownym od matki abstynentki bywa zazwyczaj słuchacz uniwersytetu. Ten zwraca najprzód uwagę na to, że alkohol jest narkotykiem, i kto się raz nim oszołomił, odużył, pragnie po raz drugi doznać tego błęgiego uczucia. Ale ponieważ organizm się do tego trującego narkotyku przyzwyczaił, więc człowiek, aby miał tę samą przyjemność, musi za każdym razem więcej alkoholu wypić. Tak niepostrzeżenie z człowieka trzeźwego staje się nałogowcem pijakiem, który bez picia nie może sobie życia wyobrazić. Alkohol czyni ze swych niewolników częstokroć zbrodniarzy. Wiadomo, że cztery piąte wszystkich przestępstw i jedna trzecia samobójstw dokonuje się pod wpływem alkoholu. Alkohol sprawia, że połowa dzieci idiotycznych to dzieci pijaków, a co czwarty człowiek obłąkany — to alkoholik. Alkohol

jest to więc trucizna dla duszy narodu, i należy, jak przed użyciem trucizny, przestrzegać naród przed pićm alkoholu.

Obywatele dojrzały na stanowisku — jako powód wyrzucenia alkoholu z programu swego życia podaje względy gospodarczo-państwowe. — „Jesteśmy państwem ubogiem, wydzierzawiamy monopole, sprzedajemy lasy, wreszcie jak żebracy prosimy o pożyczkę amerykańską. I ileż to chcemy otrzymać pożyczki? Sumę sto milionów dolarów czyli jeden miliard złotych polskich. I właśnie tyle wydaje naród polski w ciągu jednego tylko roku na trunki alkoholowe. I za tę olbrzymią sumę kupujemy nie zdrowie i siły, ale osłabienie charakteru, stopienie sumienia, zmarnowanie zdrowia, zmniejszenie chęci do pracy, — za tę sumę przysparzamy narodowi przestępców, ludzi obłąkanych i zwyrodniałych, którzy stają się ciężarem i zakałą społeczeństwa. I gdybyśmy nagle przestali pić, nie potrzebowalibyśmy poniżać się do prośb o pożyczkę u obcych, znosić upokorzeń, bo państwo nasze rychło stałoby się potęgą, ważącą na losach Europy i świata.“

Robotnik nie wdaje się w długie rozumowania. Przytacza on tylko doświadczenie, w którym sam uczestniczył. Opowiada „Pracowaliśmy w fabryce na akord. Pewnego dnia zarządca polecił połowie robotników na drugie śniadanie wydzielić po pół litra piwa, a drugiej połowie po pół litra mleka. Dotychczas dostawaliśmy wszyscy kawę. Nie byłem jeszcze wówczas abstynentem, i ponieważ zaliczono mię do tej połowy, której przeznaczono mleko, zazdrościłem z całego serca towarzyszą, którzy popijali orzeźwiający piwo. Widać było, że im to piwo humory poprawia, ochoty do pracy dodaje; oni sami podrzywali z nas, że nas w pracy prześcigną. Ja sam byłem pewien, że tak będzie. Tymczasem gdy ja wykonałem swą zwyczajną pracę w czasie normalnym, towarzysz mój, który chwalił się, że mu robota idzie jak z płatka, z pracą się trochę opóźnił, — i gdy się to tak przez cały miesiąc stale powtarzało, okazało się, że nietylko ja, ale wszyscy „mleczarze“ odnieśli w pracy zwycięstwo nad „piwoszami“. Ponieważ zależało mi na tem, by jak najszybciej zarobić sporo pieniędzy i wrócić z obczyzny do swoich, zupełnie zaprzestałem pić trunków, — i po trzeźwemu rychło mogłem swe zamiary doprowadzić do skutku. A że obecny dobrobyt zawdzięczam wstrzemięźliwości od trunków, więc też jej wierności do grobu dochowam.“

Żołnierz sprawę używania alkoholu czyli alkoholizm rozstrzyga po żołniersku. „Polska ma 5100 km. granic — nie licząc Gdańska — pięciu sąsiadów“ — mówi on. — „Z tych pięciu sąsiadów (Niemcy, Czechosłowacja, Rumunja, Rosja, Łotwa i Litwa) tylko dwóch jest dla nas usposobionych życzliwie, tj. Rumunja i Łotwa. Jeżeli przeto Polska chce w razie walki pozostać zwycięską i nie ulec przewadze nieprzyjaciół, to jej żołnierze muszą mieć nieskażone zdrowie moralne, stalowe nerwy i żelazne zdro-

wie fizyczne. Ponieważ alkohol zdrowie moralne żołnierza zatruwa, a nerwy jego i siły fizyczne osłabia, więc „precz z alkoholem!“ — i kwita!“

Reemigrant amerykański nie pije, bo od picia w Ameryce przymusowo odwykł. Przywiózł on do Polski nie tylko dolary, ale i to ugruntowane przekonanie, że potęgą każdego narodu opiera się na pracy, — a podstawą każdej umiejętnej pracy jest trzeźwość. „Ameryka — ten kraj trzeźwości“ — mówi on — „dała nam przykład, jak skutecznie walczyć z alkoholizmem. Naśladujmy ten przykład co rychlej, aby nas sąsiedzi nie ubiegli, i pamiętajmy, że przyszłość należy tylko do narodów trzeźwych.“

Gdy w towarzystwie ludzi pijących wypowie napastowany abstynent tak jasno i bez ogródek, co sądzi o alkoholizowaniu się społeczeństwa — to zdarzy się niejednokrotnie, że w duszy kilku mniej zaćmionych alkoholem osób — zaczyna się dokonywać przewrót pojęć: alkohol widzą oni już teraz w zupełnie odmiennym świetle. Ten dawny, dobry, serdeczny przyjaciel — ukazuje im się teraz jako wilk w owczej skórce, jako szatan, który przybrał na siebie postać anioła światłości, jako wąż, który ogrzany na piersi człowieczej — wypłaca się człowiekowi czarną niewdzięcznością i zatruwa człowieka swym jadem. Widzą oni, że ten dawny domownik — to kłamca, oszukaniec i truciciel i że pokonać go raz na zawsze może tylko taki człowiek, który bezwzględnie i stanowczo odrzuci tego węża kusiciela od siebie.

Dopóki choć jeden z siedmiu łbów smoka zostanie nienaruszony, dopóki choć jeden kieliszek „wtedy, gdy się będzie trudno wymówić“ człowiek sobie zastrzeże, — dopóty istnieje bezustannie niebezpieczeństwo, że jak te siedem głów smoka z bajki, — tak i nałóg człowieka — może powrócić do dawnej swej mocy. — Z chwilą, gdy człowiekowi stanie się jasnym, że walka z tak podstępny i zdradliwym wrogiem, jakim okazał się alkohol — musi być prowadzona bez układów, z całą bezwzględnością — i przyrzeczenie przestrzegania bezwzględnej abstynencji wyda mu się czemś zupełnie naturalnym. Przyrzeczenie takie — to nie pójście w niewolę, — ale właśnie dowód wyzwolenia się z nałogu i zarazem hasło do boju w imię najwyższych dóbr narodu i ludzkości, a dla Polaka świadectwo, że swą naturę skłoną do anarchji i robienia tego „co się mu żywnie podoba“ — zdołał już opanować i ująć w karby świadomej woli.

Zrozumie on także, że armja abstynentów — zorganizowana, uświadomiona, dobrze wyposażona w broń argumentów, pełna wiary w zwycięstwo swej świętej sprawy — musi w Polsce co rychlej stanąć do walki z tym rakiem, który toczy organizm społeczeństwa polskiego. Choroba ta musi być radykalnie usunięta, — inaczej na żywym, ale osłabłym ciele narodu — zaczną żerować narody inne.

Najwięcej zrozumienia znajdują słowa ludzi niepijących w sercach kobiety. We wszystkich częściach świata najdzielniej o trzeźwość społeczeństwa walczą kobiety.

Kobiety piją alkoholu znacznie mniej niż mężczyźni — nie wpadły więc w jego sidła. Kieliszek nie pociąga ich z taką nieprzemogłą siłą jak mężczyzn, których oszołomił, upoił i uczynił swoimi niewolnikami. Kobiety, które nie zatraciły pod wpływem alkoholu trzeźwego sądu, widzą bez uprzedzenia, jakie to skutki zwyczaj picia wywiera na ich otoczenie. Z przerażeniem patrzą one, jak pod wpływem alkoholu ojciec rodziny zmienia się w nieodpowiedzialnego za swe czyny brutala, jak dom rodzinny staje się miejscem kłótni, przekleństw i zgorzenia, — a przedwcześnie dojrzale dzieci wyrastają na wyrzutek społeczeństwa i przeklinają swych rodziców.

Kobiecie alkohol nie przynosi pociechy ani orzeźwienia — ale przeciwnie rozpacz i nieszczęście. — Kobieta, która od męża swego, gdy go błagała, by nie szedł z kolegami do wyszynku, bo wróci, jak zawsze, nietrzeźwy i może stracić pracę, — usłyszała słowa: „Ciebie się wyrzeknę, dzieci się wyrzeknę, a — picia nie wyrzeknę“. — Kobieta ta nie może być zwolenniczką picia.

Często jednakże walka, jaką kobieta zamężna — matka wy daje w swoim domu alkoholowi — jest niestety — walką przegraną. Mąż do trzeźwości nie wróci, a dzieci, które urodziły się już kalekami lub upośledzonymi na umyśle, nigdy już w zdrowiu i dzielności życiowej nie dorównają dzieciom ludzi trzeźwych.

Jeżeli uda się takiej matce ochronić dziecko swe od picia, to zawsze w sercu matczynem zostanie lęk, że pierwszy kieliszek, jaki nierozumni koledzy włożą jej synowi do ręki, może być początkiem jego zatury. Ma on bowiem we krwi to, co wszystkie dzieci alkoholików przynoszą ze sobą na świat: pociąg i skłonność do nadużywania alkoholu. Skoro raz wstąpi na drogę odurzania się alkoholem, cuduby chyba trzeba, żeby się w pół drogi nad przepaścią zdołał zatrzymać.

Mimo najgorętszych wysiłków niezawsze udaje się kobiecie zamężnej ocalić męża i dzieci od zaguby, bo zatrucie weszło już w krew — i nieszczęścia od siebie i od swej rodziny odwrócić nie zdoła. Wróg alkohol niejednokrotnie zatriumfuje nad nią.

Inaczej przedstawia się sprawa, gdy kobieta od wczesnej młodości stanie do walki z tym swoim najstraszliwszym wrogiem.

Walkę z nim rozpoczyna wtedy od samej siebie. Wyjmuje naprzód źdźbło ze swego oka, — aby przejrzała i mogła dopomóc swym najbliższym do usunięcia belki, jaka im wzrok zasłania. Zostaje więc młoda dziewczyna bezwzględną abstynentką od trunków alkoholowych i zaczyna pogłębiać swą wiedzę. Wraz z pogłębianiem swej wiedzy o wpływie alkoholu na duszę i ciało człowieka — gruntuje się w niej przeświadczenie, że obrała drogę dobrą, że Bóg chce, abyśmy byli trzeźwymi, bo „ani pijańca, ani

złorzeczący, ani drapieżnicy nie posiadają królestwa Bożego“ (św. Paweł do Kor. 6, 10).

Pracę swoją nad otrzeźwieniem narodu zaczyna uważać jako pracę nad przybliżeniem królestwa Bożego na ziemi. Widzi, że w każdym narodzie ludzie, którzy umieli siebie samych zwyciężyć, stali się dla narodu swojego błogosławieństwem, bo wskazali swemu narodowi drogę szczęścia, pokoju i dobrobytu.

Takim błogosławieństwem staje się młoda abstynentka dla swej rodziny. Zaczyna od sióstr, którym otwiera oczy i serca i dla wspólnej pracy pozyskuje. Pierwszem ich zwycięstwem ma być odwrócenie brata od picia. Zmawiają się więc siostry, by bratu okazać całą miłość serdeczną, jaką żywią dla niego, by bratu podsuwać sposobność do lepszej rozrywki, a zwłaszcza próbują go zachęcić do sportu. Uczęszczają na zawody i interesują się postępkami, jakie ich brat robi, aż wreszcie, gdy już brat wszedł w dobrane, szlachetnie myślące grono kolegów, w którym panuje abstynencja — skierowują swą działalność na ojca.

I tu bardzo wiele zdziałać mogą.

Znaną jest opowieść o tej 13-letniej dziewczynce, która z rozpaczą zauważyła, że ojciec coraz częściej zaczyna zaglądać do knajpy, coraz częściej matka ze łzami w oczach oczekuje powrotu podchmielonego ojca. Wtedy młode to dziewczątko wszystkie swe oszczędności i przyjemności poświęciło, by wyuczyć się grać na cytrze. Ojciec kiedyś w młodości grywał na cytrze, ale już dawno instrument poszedł w zapomnienie. Teraz uczyła się grać jego córka z wielką pilnością w tajemnicy przed ojcem. Wreszcie gdy już doszła do pewnej doskonałości w grze, spróbowała zagrać swój najpiękniejszy kawalek, — gdy ojciec brał za kapelusz, by pójść do knajpy. Ojciec wstrzymał się na chwilę, przysłuchał się muzyce, pochwalił i poszedł do kolegów jak zwykle. Na drugi dzień spędził już przeszło pół godziny, przysłuchując się muzyce i wspominając dawne czasy. Poszedł wprawdzie do knajpy, ale wrócił wcześniej niż zwykle. Wreszcie gdy dziewczątko na trzeci dzień wzięło się do muzyki — ojciec pozostał w domu i nigdzie już do żadnego szynku ani tego, ani następnych dni, tygodni i lat nie wychodził. Był ocalony! Ocaliło go kochające serce dziecka — która uratowała nadto szczęście matki i swoje własne.

Opowieść ta jest trafnym przykładem, jak wielkim jest wpływ córki na ojca. Ojcowie są dumni z synów, — ale najtkliwiej kochają córki, i córka tkliwem i delikatnem postępowaniem poważny wpływ na ojca wywrzeć może.

Również w towarzystwach, w których przebywa młoda abstynentka, zaznacza się wpływ jej dodatni. Młoda dziewczyna jest ozdobą każdego zebrania. Lubią z nią mówić i bawić się nie tylko młodzi — ale i starzy. Pod wpływem jej uroku, jej duchowości podnosi się i szlachetniejsze sposoby zabawy. Ludzie wstydzą się pokazać się jej w stanie nietrzeźwym — a młodzi ludzie, którzy ra-

dziby pozyskać ją na towarzyszkę życia, — zaczynają się dla niej wyrzekać alkoholu!

Przebywa także i pracuje młoda abstynentka w towarzystwach kobiecych i tu dla swej idei zyskuje zwolenniczki. Zaczyna od wycieczek, urządzania wieczorów śpiewackich, teatrów amatorskich i t. d., na których jest szczerą młodzieńcza wesołość, płynąca z czystego serca, — a niema ani kropli alkoholu. Gdy już zyskała sobie zaufanie i przekonała towarzyszki, że picie alkoholu jest zbyteczne, bo tylko wesołość bez alkoholu jest szczerą i prawdziwą, a wesołość wywołana alkoholem jest dzika, ordynarna, zwierzęca i prowadzi do występku, — przedstawia młodym towarzyszkom, dlaczego usta dziewczyny nigdy tknąć alkoholu nie powinny!

Mówi ona: Urok dziewczyny stanowi szlachetność i delikatność uczuć oraz pełne wdzięku panowania nad sobą, — a najcenniejszym skarbem dziewczyny — jest czystość. Alkohol odiera dziewczynę z uroku, bo pozbawia ją panowania nad sobą, szlachetne uczucia przytłumia — i nieodpowiedzialną, oszołomioną, nieprzytomną wydaje na łup niepohamowanych zachcianek i — jakże często — prowadzi do utraty najcenniejszego skarbu: czystości duszy i ciała.

Młoda dziewczyna, która zamierza wyjść za mąż, powinna z obrzydzeniem patrzeć na kieliszek z alkoholem, bo alkohol pozbawia ją najcenniejszych wartości, jakie kobieta obowiązana jest wnieść w życie rodzinne — a mianowicie spokoju duszy, czystej radości życia i zdrowia fizycznego.

I niejednokrotnie te słowa abstynentki wywierają tak głęboki wpływ na jej towarzyszki, — nietylko że same porzucają zwyczaj picia trunków upajających, ale z sercem pełnym zapału zabierają się do pracy abstynenckiej na polu społecznym i politycznym.

Nie przeraża ich ogrom tej pracy. Wierzą, że dobrej sprawie służą. Rozpoczynają i prowadzą:

- stwarzanie kuchni ludowych bezalkoholowych, które powstrzymują rozrost pijaństwa,
- instalację automatów z ciepłym mlekiem w zimie na ulicach miast,
- ratowanie ginących z rozpacz i nędzy rodzin pijackich,
- stwarzanie dla abstynentów godziwej rozrywki,
- walkę o wykonywanie ustawy o ograniczeniu sprzedaży alkoholu,
- praca nad wprowadzeniem do szkół obowiązkowej nauki o szkodliwości alkoholu,
- wybór posłów, abstynentów lub takich, którzy zobowiązują się popierać sprawę otrzeźwienia narodu,
- przygotowanie w duszach i umysłach ludzi gruntu pod głosowanie gminne, które może usunąć jednym zamachem szynki z obszaru tej gminy, która większością głosów uchwaliła, że szynki mieć nie chce.

Wszystkie te prace nie przerażają ich, ani odwagi nie pozbawiają. Stają one bowiem do wypełnienia ich z tą wiarą, że Panna Najświętsza, która swą świętością starła głowę szatana, — pomoże dziewczętom i kobietom polskim do wytepienia alkoholizmu na ziemi polskiej.

Oby takich abstynentek było u nas jaknajwięcej.

Z. B.

Młody Polak — dobrze wychowany.

Spółczeństwo ludzkie można dzielić różnie: na bogatych i biednych, na szlachtę i nieszlachtę, na wykształconych i prostaczków. Nie każdy z nas może być bogatym, uczonym albo mieć piękne nazwisko; ale każdy, choćby pochodził z niskiego stanu, może mieć dobre wychowanie.

Dobre wychowanie bardzo nam ułatwia zdobycie stanowiska w świecie, ułatwia życie z ludźmi, czy to będą przełożeni czy koledzy, a już zwłaszcza my Polacy, których w świecie nazywają narodem rycerskim, winniśmy od młodych lat przyswoić sobie zasady dobrego wychowania, oczywiście każdy wedle stanu swego.

Inni o dobrem wychowaniu napisali całe książki; kto ciekawy i chętny, niechże sobie taką książkę przeczyta. My w krótkim naszym wykładzie poruszymy tylko następujące sprawy: jak objawia się dobre wychowanie w obcowaniu z ludźmi, w rozmowie, w ubiorze, w jedzeniu.

Obcowanie z ludźmi.

Dobre wychowanie wymaga, abym jako młody u s z a n o w a ł starszych.

A więc gdy spotykam kogoś znajomego, poważnego wiekiem, ukłonię mu się grzecznie, wyjmując przytem ręce z kieszeni albo papierosa z ust, jeżeli tam tkwił. Nie wyciągnę jednak pierwszy ręki na powitanie, lecz odczekam, aż starszy do mnie rękę wyciągnie.

Jeżeli starszy stoi, nie wypada, aby młody wygodnie siedział; owszem wstanie i zrobi miejsce starszemu. A nawet gdy jadę koleją lub tramwajem i bilet swój rzetelnie zapłaciłem, a poważna jaka pani lub starzec stoi, bo niema już miejsca, wstanę chętnie i choćby nieznanemu ustąpię własnego miejsca. Będzie to dowód dobrego wychowania.

Jeżeli starsi mówią, nie wypada, abym im przerywał lub wołał: Nieprawda, kłamstwo itp. Nawet gdy starsi się mylą, trzeba pozostać grzecznym i skromnym.

Grzeczność ta obowiązuje nietylko wobec obcych, ale w pierwszym rzędzie wobec swoich najbliższych, a więc przedewszystkiem rodziców. Bo niestety nieraz się zdarza, że młodzieniec umie

być bardzo eleganckim wobec obcych, a w własnej rodzinie zachowuje się jak gbur. Cześć dla rodziców — to stara, polska tradycja. Dlatego też młody Polak nie może naśladować Niemca, który na powitanie rodziców potrząsa im rękę i mówi do nich przez „ty“; my Polacy mówimy do rodziców w osobie trzeciej: niech ojciec, niech matka itd., a gdy się witamy lub żegnamy, to całujemy ich w rękę, tak samo i innych starszych krewnych.

Dobre wychowanie wymaga dalej, abym unikał wszystkiego, co drugim sprawia przykrość.

Nie będę więc przy ludziach gwizdał, aż w uszach wierci, ani hałasował, ani trząsał drzwiami. Kaszlenie, wycieranie nosa itd. niech będzie delikatne, a nie takie, jakby trąbiło stado słoni. Nieapetycznym też jest dłubanie w nosie, zębem lub uchu albo nawet drapanie się po głowie; gotowi ludzie jeszcze o coś posądzić.

Mam być wesołym, śmiałym i otwartym, bo tak przystoi młodemu Polakowi, ale równocześnie cichym, skromnym i usłużnym.

Bardzo też dobre sprawia wrażenie, gdy młodzieź jest chętna i wesoła przy codziennej swej pracy, czy to w szkole czy warsztacie, na roli czy w handlu.

Znamy dzieje Józefa w Egipcie. Kochał go ojciec, bo był dobry, posłuszny i miły. Putyfar zrobił go naczelnikiem domu swego, bo był pilny, chętny i swobodny. Dozorca więzienia zrobił go przełożonym nad innymi więźniami, bo mu przypadł do serca zachowaniem swoim. Wreszcie został rządcą całego Egiptu.

Otóż pamiętajmy sobie, że mruków kwaśnych i zgryźliwych nikt nie lubi. Przeciwnie, rodzice i pracodawcy mają prawdziwą pociechę z młodzieńca, któremu z oczu patrzą radość i zamiłowanie do pracy, młodzieńca, który umie słuchać szybko i chętnie.

Rozmowy.

Dobre wychowanie najłatwiej bodaj można poznać po mowie. Zaledwie ktoś otworzył usta i powiedział kilka słów, już wiemy, czy on mądry czy głupi, dobrze lub źle wychowany. Dlatego dobrze jest nie mówić wiele. Kto wiele milczy, tego ludzie mają za mądrego; kto wiele mówi, łatwo zdradzi ubóstwo rozumu swego.

Przedewszystkiem wymaga się od Polaka dobrze wychowanego, aby jako tako poprawnie władał mową ojczystą. Nie każdy z nas mógł się kształcić długie lata w szkołach, ale na to jest rada. Czytajmy porządne czasopisma lub książki, jeżeli być może, nawet głośno; uczmy się opowiadać w towarzystwie, cośmy czytali; poprawiajmy jeden drugiego, nie obrażając się wzajemnie; a powoli mowa nasza stanie się poprawną i ładną. Niejeden członek towarzystw naszych przez ćwiczenie taką nabył wprawę, że prawi mowy jak ksiądz na ambonie albo jaki poseł w sejmie.

Następnie trzeba z mowy wyrzucić klątwy i wyrazy nieprzystojne.

Nie mówimy w tym wykładzie o grzechu, lecz o dobrem wychowaniu. Otóż jeżeli młody Polak w towarzystwie porządnem zacznie klnąć a rzucać różnemi zwierzętami z chlewa lub obory albo jeszcze gorszych będzie używał wyrazów, wtedy wszyscy obecni wiedzą od razu, że mu brak wychowania.

Polska mowa jest bardzo bogata, posiada na jedną rzecz nieraz dwa wyrazy: jeden delikatny a jeden gruby n. p. głowa i łeb; włosy i klaki; nos i kluka; oczy i ślepie; usta i gęba; zęby i kły; ręce i łapy; nogi i giery; pić i chlać; jeść i żreć; chodzić i lazić itd. Otóż gdy jesteśmy między sobą lub mówimy o zwierzętach, to używa się nieraz owych wyrazów grubych; ale w porządnem towarzystwie oczywiście trzeba uważać dobrze, jakiego użyć wyrazu.

Czasem zdarzy się jakieś nieporozumienie lub może nawet sprzeczka. Człowiek źle wychowany od razu zapomina o wszystkim; wyzywa ordynarnie i głośno, a może nawet zabiera się do pięści lub kija. Człowiek dobrze wychowany powinien tak umieć panować nad sobą, aby nigdy nie dopuścić do gorszących wyzwisk i kłótni. Nie jesteśmy jednak pieskami, abyśmy ujadali na siebie i pokazywali kły, przepraszam: zęby, nie jesteśmy kogutami, abyśmy szli na siebie z pazurami, przepraszam: paznogciami; kto ma za sobą słusność, będzie umiał zachować cierpliwość i spokój.

Dobrze wychowany człowiek będzie też unikał plotek. Trzymajmy się w tym względzie następujących zasad: „O sobie samym będę mówił mało albo najlepiej wcale nic. O drugich będę mówił tylko wtedy, jeżeli umiem powiedzieć o nich coś dobrego. Obgadywać lub oczerniać nieobecnych — to tchórzostwo, niegodne rycerskiego Polaka.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. Wielu tak sobie myśli: W towarzystwie owszem będę mówił grzecznie i ładnie, ale w domu lub między swoimi to mogę gadać tak, jak mi urósł dziób. Otóż nie. Kto się nie uczy i nie wprawia w codziennem życiu, ten też nie da sobie rady w towarzystwie; ani się spostrzeże, jak wystrzelił z jakimś grubiaństwem i od razu zdradzi brak wychowania.

Ubiór.

Jak cię widzą, tak cię piszą, mówi przysłowie. Po wyglądzie zewnętrznym, po ubiorze łatwo można poznać, czy właściciel jego dba o zasady dobrego wychowania.

Jasna rzecz, że do pracy nie możemy pójść we fraku. Jaka praca, takim też będzie nasze ubranie, wygląd, ręce. Ubranie, pokryte pyłem i brudem od uczciwej pracy, ręce grube i spracowane — to nie żaden wstyd, ale zaszczyt i honor.

Ale są jeszcze inne rodzaje pracy: n. p. w handlu, biurze; są niedziele, święta i różne uroczystości, gdzie ściągamy ubranie robocze i przywdziewamy jakieś lepsze. Jak ono ma wyglądać?

Pierwszą zasadą przy wszelkiem ubieraniu się jest: porządek i czystość. Możesz mieć ubranie choćby z jedwabiu i aksamitu, jeżeli ono będzie podarte, niechlujne, to cała elegancja na nic.

Pierwszy warunek: czystość, ale nie czystość taka zewnętrzna, dla oka, lecz prawdziwa, całkowita; nie tylko na policzkach i nosie, ale i na szyi i w uszach i na nogach i na całym ciele; kąpiel i mycie porządne — to nie zbytek, ale konieczność dla zachowania porządku i zdrowia. Kto idzie między porządne towarzystwo, a ma paznogie poobgryzywane lub z czarną, żałobną obwódka, włosy rozczochrane, zaperzone, nieuczesane, trzewiki zabłocone, ten okazuje złe wychowanie. Nie szczędźmy więc szczotki, wody i mydła; według zużycia mydła mierzy się kulturę narodu — powiedział pewien praktyczny człowiek.

Nie szczędźmy też igły i nitki; podarte ubranie, urwane guziki źle świadczą o zamiłowaniu porządku.

Ubierajmy się wedle stanu. Jeżeli służąca ubierze się jak hrabina, a parobczak zacny wciągnie frak i cylinder, to jest to śmieszne. Ubranie ubogie, ale czyste i porządne wskazuje na człowieka poważnego i porządnego.

Ubierajmy się skromnie. O strojach kobiecych tu nie mówię, bo musiałbym mówić zbyt długo. Ale i niektórzy młodzieniec polski lubi stroje zgoła niestosowne: a więc jaskrawe krawaty, zwłaszcza takie wielkie, czerwone, że wszystkie indyki gulgocą; kołnierzyki wysokie, że mu oczy wychodzą na wierzch; spodeńki krótkie, aby było widać skarpetkę w paski aż prawie do kolana i t. d. Wszelka przesada w strojach jest śmieszna. Szkoda na to czasu i atlasu i pieniędzy. A człowiek rozumny spojrzy i powie: Patrzcie, ten tam chce udawać pana, a nie umie.

Jedzenie.

Można jeść jak trzódka, co kwiczy i drze się do koryta i młaska, można też jeść jak człowiek dobrze wychowany. W tym celu trzeba dbać o to, aby ręce i stół i talerze były czyste, trzeba unikać głośnego młaskania językiem czy ustami, trzeba zachować pewne prawidła, których wymaga dobre wychowanie.

Podam krótko kilka prawideł zachowania się przy stole.

Obyczaj to katolicki i polski, mówić przed i po jedzeniu krótki pacierz lub choćby przeżegnać się. Jeżeli dadzą serwetę, to ją położyć na kolanach a nie przewiążę sobie nią gardła. Chleba nie kraje się nożem na obrusie, bo można popsuć obrus, lecz łamie się rękoma.

Podają zupę. Jeżeli gorąca, to się nie dmucha, lecz studzi się łyżką, jedząc ostrożnie od wierzchu. Nie trzeba nabierać zbyt pełno, aby zupa nie kapała na obrus. Łyżkę kładzie się do ust nie bokiem, lecz końcem. Po jedzeniu zupy zostawia się łyżkę na talerzu.

Podadzą inne danie. Jeżeli obnoszą wielki półmisek, nie należy wybierać z niego zbyt długo, bo to dowodzi łakomstwa; nie trzeba też brać zbyt wiele, tak iż nie możemy dokończyć i zostawiamy jedzenie na talerzu. Przy jedzeniu trzymamy w prawej ręce nóż, w lewej widelec; do ust jednakże kładzie się tylko widelec, a nigdy nóż, bo to tak wygląda, jak gdyby kto sobie usta przecinał. Ćwiczmy się w jedzeniu widelcem na codzień, w domu, bo gdy nas gdzie zaproszą, na wesele lub chrzciny, nie będziemy umieli sobie rady dać.

Rzeczy miękkie jak ziemniaki, jarzyny, mięso siekane, ryby itd. jada się samym widelcem; można sobie przytem dopomagać kawałkiem chleba.

A przy krajaniu ostrożnie z łokciami, aby nie popychać sąsiadów.

Jeżeli podadzą kompot lub owoce z pestkami, nie należy pestek wypluwać do ręki lub wprost na talerz, bo to nieapetycznie, lecz bierze się pestkę łyżeczką z ust i kładzie się na talerzyk.

O ile kto nie jest abstynentem, winien zachować miarę w picciu. Przechylenie kieliszków, jednego po drugim, źle świadczy o trzeźwości, ale także o dobrem wychowaniu gościa.

Nie trzeba też zatonać duszą i ciałem w talerzu i jedzeniu, lecz trzeba grzeczną rozmową bawić sąsiada i sąsiadów. Lecz ostrożnie z mówieniem, gdy masz pełne usta.

Po skończonym obiedzie jest zwyczaj, że goście wzajemnie sobie dziękują za miłe towarzystwo; starsze panie całuje się przytem w rękę.

Długo jeszcze możnaby rozprawiać o zasadach dobrego wychowania. Lecz spamiętajmy sobie choć tych kilka podanych, ćwiczymy się w nich w codziennem życiu, a oddadzą one nam nieraz wielkie usługi. Często słyszy się skargi, że obecna młodzież jest taka dzika, nieokrzesa, źle wychowana; pokażmy społeczeństwu, że młody Polak umie jeszcze uszanować i zachować rycerskie obyczaje ojców.

**Plany współpracy Związku Młodzieży Wiejskiej z ukraińską
i białoruską młodzieżą wiejską.**

W Związku Młodzieży Wiejskiej przejawiają się tendencje wciągnięcia w orbitę swych wpływów młodzieży ukraińskiej i białoruskiej. O sprawie tej rozpisał się na łamach „Siewu“, pisma tej organizacji, Fr. Wójcicki. Uważa on z względu na wspólność klasowych interesów solidarną działalność włościan w Polsce, bez względu na narodowość i wyznanie, za konieczną. Zapoczątkowaniem tej solidarności może być współpraca młodzieży wiejskiej wszystkich narodowości, zamieszkujących ziemie Rzeczypospolitej, na terenie organizacyjnym. O formie tej współpracy wypowiada autor się następująco:

„Podstawową i zasadniczą komórką organizacyjną Związku Młodzieży Wiejskiej jest koło, trzeba więc określić, czy chcemy tworzyć wspólne koła, czy oddzielne dla młodzieży polskiej, oddzielne dla ukraińskiej czy białoruskiej. Jestem zwolennikiem drugiego systemu, który jest bardziej wychowawczy, odsuwa jakiegokolwiek podejrzenie o ubocznych celach współpracy, niszczy nieufność między młodzieżą, może stworzyć zdrowe współzawodnictwo w pracach kół, dając możność młodzieży swobodniejszego i pełniejszego czerpania z dorobku swego narodu. Współpraca między kołami tej samej wsi lub sąsiednich polegałaby na wspólnem działaniu przy urządzaniu większej zabawy, przedstawienia, wysadzania dróg drzewami, budowy łaźni czy domu ludowego itp. W wyższych komórkach organizacyjnych, a więc n. p. w okręgach, byłyby osobne Zarządy Kół Młodzieży danej narodowości, a pozatem delegaci tych Zarządów tworzyliby jakby władzę nadokręgową, któraby uzgadniała pracę na terenie powiatu; taka sama budowa organizacyjna byłaby w województwach. Pozatem wszystka młodzież danego narodu tworzyłaby swe Zarządy Główne, a delegaci tych Zarząd Główny Federacyjnego Związku Młodzieży Wiejskiej w Polsce. Zresztą ogniwa pośrednie między Kołami a Federacją mogłyby przybierać różne formy, zależnie od miejscowych warunków. Zasadniczą jednak jest rzeczą, aby Koła dla młodzieży ukraińskiej i białoruskiej były organizowane osobno“.

Katolicki ruch robotniczy w Holandji.

Katolicki ruch robotniczy w Holandji toczy się dwoma torami. Jeden tworzą katolickie związki zawodowe, drugi katolickie ligi robotnicze o charakterze stowarzyszeń kulturalno-oświatowych. Obie te organizacje mają wspólną nadbudowę w Rzymsko-Katolickiej Federacji Robotniczej Holandji (Roomsche-Katoliek Werkliedenverbond in Nederland). Ligi robotnicze liczyły w dniu 31 grudnia 1925 r. członków 85 254 a związki zawodowe 93 049. Podpada, że ligi robotnicze są mało co słabsze od związków zawodowych, gdyż w innych społeczeństwach zwykle stowarzyszenia kulturalno-oświatowe pozostawają pod względem ilości członków dość daleko poza związkami zawodowymi. Świadczy to o wysokim stopniu wyrobienia katolickiego robotnika w Holandji. Nasuwa się tu smutne porównanie z naszymi stosunkami. Blisko dwudziestomiljonowe społeczeństwo katolickie w Polsce ma bodaj z 25 000 robotników, zorganizowanych w Stowarzyszeniach Robotników Chrześcijańskich, gdy przy o dziesięć razy mniejszej ludności katolickiej w Holandji przeszło trzy razy więcej robotników ogarniętych jest katolicką akcją kulturalno-oświatową.

Pięciodniowy tydzień pracy u Forda.

Wielkie wrażenie w świecie przemysłowym i robotniczym wywarło ogłoszenie Forda, że w przedsiębiorstwach swych skracając tydzień pracy z sześciu dni na pięć, przy zachowaniu dotychczasowej płacy. Na krok ten zdecydował się po bardzo poważnych namysłach i badaniach, jak świadczy o tem taka jego deklaracja:

„Postanowiliśmy znieść pracę w soboty i niedzielę przy dotychczasowych zarobkach tygodniowych, zachowując ośmiogodzinny dzień pracy. Przed decyzją robiliśmy doświadczenia. Ulepszyliśmy metody pracy, będziemy więc produkować w pięciu dniach więcej niż w sześciu. Znosimy płacę minimalną 5 dol. ze względu, że tylko nieznaczna część naszych robotników tak mało zarabia. Podwyższamy płacę w stosunku do uzdolnienia. Kraj dojrzał do pięciodniowego tygodnia. Skrócony tydzień musi być wprowadzony, gdyż bez niego kraj nie potrafi wchłonąć swojej produkcji. Im więcej robotnicy mają czasu wolnego, tem bardziej rosną ich potrzeby, a to jest koniecznością. Dobrze prowadzone przedsiębiorstwo płaci wysokie płace robocze, a sprzedaje po niskich cenach. Przemysł Ameryki nie mógłby istnieć, gdyby fabryki wróciły do dziesięciogodzinnego dnia pracy, bo ludności brakłoby czasu do konsumpcji wytworzonych towarów. Nacóż robotnikowi, który nie ma wolnego czasu, automobil? Ośmiogodzinny dzień pracy otwarł wrota do naszego dobrobytu. Pięciodniowy tydzień pracy dobrobyt ten powiększy. Długi dzień pracy wstrzymałby nietylko rozwój produkcji, ale i rozwój konsumpcji. Rzadkie dni wypoczynku

wywoływały potrzebę szczególnego ich świętowania i prowadziły do pijaństwa. Stałe skrócenie czasu pracy wywołuje szlachetne potrzeby.

W dalszym ciągu swych wywodów zwraca się Ford przeciw przeciwnikom skrócenia czasu pracy, gdyż popełniają oni wielki błąd, nie rozróżniając próżniactwa od swobodnego wypoczynku. O znaczeniu zaś konsumpcji wyraża się tak:

„Ci sami, którzy wytwarzają nasze towary, są konsumentami przeważnej ich części. W tem zdaniu spoczywa tajemnica naszego gospodarczego rozkwitu. W Niemczech przedłużono czas pracy, ulegając mylnemu przypuszczeniu, że przez to wzmoże się produkcja, ale prawdopodobnie cofnięto ją. W Stanach Zjednoczonych ze skróceniem czasu pracy produkcja się powiększyła. Od czasu, gdy kobiety dobrze zarabiających mężów wróciły do domu — powstały nowe potrzeby, i było dosyć czasu i dosyć pieniędzy, by je zaspokoić. Osoby, mające więcej czasu, mają większe zapotrzebowania odzieży, różności potraw, środków lokomocji itd. Po pięciodniowym tygodniu konsumpcja się powiększy, co spowoduje powiększenie produkcji, w konsekwencji większe zyski przemysłowcom i większe płace robotników. Ani pięciodniowy tydzień — kończy Ford — ani ośmiogodzinny czas pracy nie stanowią ostatniego słowa rozwoju, prawdopodobnie dalszym etapem będzie dalsze skrócenie dnia pracy, a potem dopiero dalsze zmniejszenie tygodnia pracy“.

Wywody te stanowią ciekawy przyczynek do kwestji czasu pracy.

SPRAWOZDANIA.

Zjazd Związku Odrodzenia Narodowego „Praca“.

I. Zjazd Walny Związku Odrodzenia Narodowego „Praca“ odbył się w Gimnazjum „Tow. Szkoły Pracy“ w Wieleniu nad Notecią od 15—22 sierpnia br. Przez zjazd, który odbywał się łącznie z kolonią wakacyjną Filareckiego Związku Elsów, przesunęło się łącznie z gośćmi około 50 osób z całej Polski, nie wyłączając kresów wschodnich, oraz z Gdańska, Francji, Czechosłowacji. Referaty wygłoszono następujące: 1) Dr. A. Niesiołowski: „Dotychczasowy rozwój „Pracy“ na terenie akademickim“. 2) Ks. Dr. Mirek: „Uniwersalizm — nowa idea stulecia“. 3) R. Dankowski: „O faszyzmie“. 4) Dr. Niesiołowski: „Nasz stosunek do nacjonalizmu“. 5) Dr. Niesiołowski: „Nasz program społeczny“. 6) J. Brodowiczowa „Socjalizm a chrześcijaństwo“. 7) K. Kalinowski: „Kult Najśw. Marji Panny w Polsce“. 8) Ks. Dr. Kozłowski: „Katolicki ruch społeczny w Polsce“. 9) Dyr. Dr. I. Kozielewski: „Pierwiastki społeczne i polityczne w dziełach trzech wieszczów“. 10) Dr. Niesiołowski: „Zadanie „Pracy na przyszłość“. Celem zjazdu było skrytalizowanie zadań i ideologii organizacji na terenie pozaakademickim, na który stowarzyszenie obecnie wkracza. Tydzień spędzony w atmosferze nadzwyczaj podniosłej przyczynił się ogromnie do wzmocnienia sił organizacji, zżycia się członków, rozbudzenia ducha zapału i poświęceń oraz do wykrystalizowania się jasnych myśli przewodnich. Sformułowano je w trzech tezach, określających ideologię Związku.

Tezy I Zjazdu Walnego „Praca“.

Motto: In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus caritas“.

(Sw. Augustyn.)

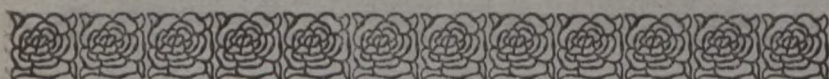
1. Główną przyczynę rozbicia ideowego i społecznego naszego stulecia upatrujemy w zaniku zasad niezmiennych, wiecznych, które są fundamentem niezniszczalnym dla woli i myśli jednostki i społeczeństwa. Zasady takie nie mogą się opierać wyłącznie na niedoskonałym rozumie ludzkim. Jedynie Objawienie Boże daje nam takie niezłomne podstawy. Powołaną do interpretacji Objawienia może być jedynie instytucja przez Chrystusa samego stworzona — Kościół katolicki. Tylko przez Kościół wiedzie droga do Królestwa Bożego na ziemi, w którym będzie jeden pasterz i jedna owczarnia.

2. Uważamy, że jedynie przez naród wiedzie droga do harmonijnego współżycia narodów świata. Miłość narodu, oparta o szereg czynników idealnych, jest wyższą niż rzekoma solidarność międzynarodowa, zbudowana przeważnie na interesach materialnych i ideologii materialistycznej.

3. Walka klas, wyrosła z wyzysku i nienawiści, jest głównym czynnikiem, wprowadzającym rozstrój do życia społecznego i gospodarczego. Rozwiązanie tych zagadnień jest możliwym jedynie przez wprowadzenie wzajemnego poszanowania słusznych praw, opartego o dobrze zrozumianą wspólność interesów kapitału i pracy („powiązania pionowe“ w obrębie przedsiębiorstwa między pracodawcą i-biorcą).

Głównem zadaniem stowarzyszenia jest rozbudzenie wśród inteligencji poczucia obowiązku, umiejętnej pracy społecznej. Myślą przewodnią jest zasada, że jedynie przez bezinteresowną pracę dla dobra ludu można żagoić krwawiące rany nienawiści klasowej i wskrzesić panowanie ducha nad materją, jakości nad ilością.

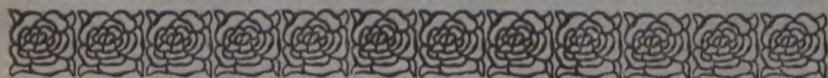
Bliższe informacje można otrzymać, zwracając się do biura organizacji Poznań pl. Wolności 3 w podwórze.



Odezwa w sprawie „Szkoły Społecznej“.

Jesteśmy jedynym niemal katolickim społeczeństwem w Europie, którego akcja społeczna nie ma oparcia o Szkołę Społeczną. Od dwóch lat czyni się już wprawdzie przygotowania do założenia takiej szkoły w Poznaniu, gdzie ś. p. J. E. Ks. Kardynał-Prymas Dr. Dalbor stawiał na ten cel do dyspozycji odpowiednie ubikacje. Obecnie jednak, po dokonaniu kosztownej przebudowy tych ubikacyj, stanęły z powodu braku funduszy dalsze prace. Tymczasem powstały u nas już dwie analogiczne instytucje o tendencjach wybitnie lewicowych, kursy akcji społecznej Wolnej Wszechnicy w Warszawie i szkoła dla działaczy klasowych związków zawodowych. Wobec tego jest jak najrychlejsze otwarcie katolickiej Szkoły Społecznej o pełnym programie, która w obecnym stanie tylko prowizoryczną działalność prowadzić może, niezbędną koniecznością, zwłaszcza że dalsza zwłoka grozi utratą przygotowanych już lokali szkolnych. Nie mogąc zaś z innych źródeł uzyskać potrzebnych funduszy, udaje się Komitet Organizacyjny Szkoły Społecznej o pomoc do ofiarności publiczności i zwraca się na tem miejscu do czytelników „Przewodnika Społecznego“ z gorącą prośbą, by w zrozumieniu społecznej doniosłości Szkoły Społecznej przyczynili się jakimkolwiek datkiem do jej rychłego otwarcia. Niech ofiary liczne tych wszystkich, którzy w katolickim ruchu społecznym biorą wybitny udział, świadczą, że i my możemy zdobyć się na podobne dzieło, co nasi przeciwnicy. Datki uprasza się nadsyłać na konto „Przewodnika Społecznego“ w P. K. O. Poznań 202,932, z dopiskiem „na Szkołę Społeczną“.

Komitet Organizacyjny Szkoły Społecznej.



Wydanie
LXXCS
Lublin

2005. 10924/8/1

WARUNKI PRENUMERATY.

Abonament kwartalny

wynosi

w kraju

3,75 zł,

za granicą

w Europie 3,75 fr. szw.,

w Ameryce 75 cent.

Oplatę można najwygodniej i bez kosztów uiścić zapomocą wpłaty na nasze konto w P.K.O. Poznań 202 932.

Adres Redakcji i Administracji:

Poznań, Podgórna 12 b.

Tel. 1514.

Konto: Poczтовая Kasa Oszczędności Poznań 202932

W Administracji są jeszcze na składzie:

„PRZEWODNIK SPOŁECZNY“

I—VII r.

w cenie: I—V r. po 10,— zł, VI—VII r. po 15,— zł.

Całoroczni abonenci otrzymają 40 % opustu.

Na życzenie dostarczamy roczniki oprawne.

Uprasza się p. t. Prenumeratorów donieść nam o każdej zmianie adresu.

Czcionkami Drukarni św. Wojciecha w Poznaniu.